

Wpisano do kontroli per  
2 Rejonowej Bibliotek Pu.  
Łódź - Włdzew

Dziś w numerze: Zapiski prowincjonalnego wydawcy • Ludzie spod znaku  
otwartej księgi • Człowiek • Spotkania z Przybyszewskim • Anna Magnani  
• Felietony • Recenzje

# odgłosy



22 (552)  
2.VI. 1968 r.  
18 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Z TEKI ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Fot. R. Taszakowski

Pora na naprawę Rzeczypospolitej Pisarskiej. To stwierdzenie wynika jasno i ze społecznej oceny wydarzeń marcowych, brzmi i w dyskusjach z czytelnikami, w debatach wewnętrznych środowisk pisarskich. Pora na naprawę błędów, za które placiliśmy słono w czasie wydarzeń marcowych, pora na zmianę w strukturze życia organizacyjnego polskich pisarzy. Do takich wniosków dochodzą twórcy wszystkich polskich środowisk literackich — w tym i pisarze warszawscy.

A nasze łódzkie środowisko? Jaka w tej sytuacji jest jego postawa i jakie jest jego miejsce?

Trzecie co do wielkości w Polsce, przeżywa nasze środowisko literackie swój awans artystyczny, nakładowy, prestiżowy, zapoczątkowany uformowaniem przed laty Wydawnictwa Łódzkiego. Człowiek pióra w Łodzi może wreszcie w pełni realizować swe pisarskie zamierzenia: na jego dzieła czeka miejscowa oficyna, miejscowy kwartalnik, miejscowa redakcja tygodnika, Rozgłośnia Radiowa, Stacja Telewizyjna. Na jego scenariusze czekają wytwórnie filmowe.

Nigdy uprzednio sytuacja pisarza w naszym mieście pod tym względem nie była tak pomyślna.

Leż czy stwierdzenia tego nie podkopywał nadmierny optymizm? Czy tak w istocie przedstawia się rzeczywistość? Powiedzmy sobie szczerze: i tak, i nie. Materialne przesłanki pełnego awansu łódzkiego środowiska pisarskiego — tak jak i większość pozawarszawskich środowisk — istnieją i jest to szczerą prawdą. Ale funkcjonuje nadal w naszym kraju drażniący i szkodliwy system centralizacji życia literackiego, układ wywodzący się z niedobrej przeszłości, służący — jak się okazało w czasie smutnych wydarzeń — celom bynajmniej nie wzniosłym.

System kultury scentralizowanej, tyleż krytykowany co i praktykowany w przeszłości, ten system obcy polskiej tradycji i stworzony — co dziś widać wyraźnie — w imię interesów grup i koterii, stoi na przeszkodzie już nie tylko pełnej emancypacji pozawarszawskich środowisk. To kloda u nogi naszej kultury, a w chwilach ważnych, krytycznych — to również i balast obciążający pod względem politycznym środowisko pisarskie, w swej całości zawsze patriotyczne i szczerze oddane sprawie socjalizmu. Ogromna przewaga liczebna środowiska warszawskiego, wywodząca się nie tyle z Rządu Dusz co z Rządu Posad, to przewaga liczebna wsparta o nieomal bezimienną rzeszę tłumaczy, których skupiono w Warszawie, bo odmawiano przecież innym ośrodkom praw do działalności przekładowej — ta ogromna liczebna przewaga, która długo jeszcze będzie faktem — stwarza w sposób oczywisty istotne szanse koteriom i klikom. Uzurpacja prymatu w sferze artystycznej i na równi w sferze finansowej — a obserwujemy ją od chwili emigracji z Łodzi „Kuźnicy” — ta uzurpacja wsparta na skupieniu w jednym mieście niemal wszystkich decydujących materialnych agend życia literackiego, jest zjawiskiem chorobowym. Jej dalszy rozwój, czy choćby tylko istnienie grozi strukturze socjalistycznej kultury wynaturzeniami, grozi Polsce podziałem na Warszawę, siedzibę elity i na słucha zabita deskami prowincje. Dlatego jednym z ważnych postulatów teraźniejszej wiosny pisarskiej jest żądanie by polska literatura powstawała na równych prawach w całym naszym kraju, by jej wyznacznikami nie były kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu i sąsiadujący z nią gabinet zaprzyjaźnionego redaktora.



Z bieżących wydarzeń na czoło wysuwa się złożona i napięta sytuacja we Francji. Kryzys polityczny, zapoczątkowany potężnymi demonstracjami studentów, a następnie umocniony 8-9 milionami pracujących, którzy podjęli strajki, będzie miał z pewnością szereg poważnych następstw.

Zmusił on de Gaulle'a do przyspieszenia powrotu z Rumunii. Tuż po przyjeździe znalazł się on w obliczu robotników, okupujących fabryki niemal w całej Francji, prawie całkowitego sparaliżowania ruchu kolejowego i nieustającego wzburzenia studentów.

Zanim jeszcze prezydent zabrał głos odbyła się burzliwa debata we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, gdzie postawiono wniosek o votum nieufności dla rządu.

Wprowadził go gabinet Pompidou wyszedł z tej próby zwycięsko, jednak tylko większością 11 głosów. Komentarzy oczekują zatem, że warunki rządów gaullistowskich będą musiały ulec zmianie i wcześniej czy później dojdzie do rozpisania nowych wyborów.

„Prezydent de Gaulle — pisze UPI, komentując wynik głosowania — wygrał pierwszą rundę, ale tylko pierwszą”.

W tej złożonej sytuacji z dużym zainteresowaniem oczekiwano piątkowego przemówienia prezydenta. Trwało ono zaledwie 7 minut, ale przyniosło kilka istotnych zapowiedzi.

A więc przede wszystkim — referendum w czerwcu, w którym Francuzi będą mogli wypowiedzieć się na temat programu „odnowy” systemu wyższych uczelni, gospodarki i świadczeń społecznych.

De Gaulle w tej sprawie rzucił już swój autorytet. „Jeśli odpowiedź będzie negatywna — rozumiem się samo przez się, że nie zachowam swych funkcji” — oświadczył narodowi. „Jeśli przez masową odpowiedź „tak” dacie wyraz waszemu zaufaniu do mnie — przystąpię wraz z władzami publicznymi — i mam nadzieję, że przy współdziałaniu tych wszystkich, którzy chcą służyć wspólnemu dobru — do dokonania, wszędzie, gdzie jest to potrzebne, zmian w przestarzałych i sztywnych strukturach i do otwarcia szerszego dopływu nowej krwi dla Francji”.

Co mieści się w programie, który ma być podany publicznie osłowski?

Znów powołujemy się na słowa de Gaulle'a. „Reorganizacja systemu wyższego nauczania, uwzględniając nie jego tradycyjne nawyki, ale zgodność z rzeczywistymi potrzebami rozwoju kraju i z koniecznością zapewnienia młodzieży należytego miejsca w nowoczesnym społeczeństwie” oraz „dosłownie gospodarki nie do takich lub innych kategorii partykularnych interesów, lecz do wymogów ogólnonarodowych przez poprawę warunków bytu i pracy”.

W sobotę, a więc tuż po radiowo-telewizyjnym przemówieniu generała, rozpoczęły się rozmowy przedstawicieli rządu i związków zawodowych, które dotyczą ekonomicznego i socjalnego położenia Francji.

Nie przesadzając, czy uspokoi to sytuację, może być z pewnością uznane za początek poważnych zmian we Francji, zakamywania się autorytarnego systemu sprawowania rządów.

Kryzys francuski obserwujemy w różnych krajach, szczególnie bacznie jednak w Stanach Zjednoczonych. Większość amerykańskich gazet nie kryje zadowolenia, obszernie informując o paralizu francuskiej gospodarki i wykpiwając prezydenta Francji. Dlaczego — nie trzeba wyjaśniać. De Gaulle tak dopiekl Waszyngtonowi, że teraz z satysfakcją odnotowuje się jego trudną sytuację.

Wydarzenia we Francji toczą się wówczas, kiedy w jej stolicy trwają wietnamsko-amerykańskie rozmowy. Byłoby przesadą twierdzić, że mają one wpływ na paryski dialog, chociaż nie brakuje i takich głosów komentatorów.

W ub. tygodniu częstotliwość spotkań zmalała i rozmowy są jak gdyby w pewnym impasie.

Tymczasem w Wietnamie toczą się ciężkie boje, w Sajgonie znów doszło do starć.

Z rozmowami paryskimi wiąże się wizyta brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Stewarta w Moskwie. Stewart wystąpił tam w roli rzecznika stanowiska amerykańskiego, co oczywiście uniemożliwiło wysunięcie jakiegokolwiek wspólnej brytyjsko-radzieckiej inicjatywy. Stewart jest jednak optymistą. Nawiązując do rozmów z min. Gromyko wyraził on przekonanie, że „do przysięgi mogą one wywrzeć pozytywny wpływ na rokowania pokojowe w Paryżu”. Nie można przeczyć — dodał w rozmowie z dziennikarzami na lotnisku w Moskwie — oczekiwać natychmiastowych lub namacalnych wyników”.

(Przedmiotem dyskusji w Moskwie był nie tylko Wietnam, ale także kryzys bliskowschodni, problem niemiecki, układ o zakazie proliferacji broni nuklearnej oraz stosunki dwustronne).

Z rozmowami wietnamsko-amerykańskimi w Paryżu, a ściślej niedość im do skutku w Warszawie, wiąże się również rezygnacja Johna Gronouskiego, ambasadora USA w Polsce. Zdaniem komentatorów zachodnich fakt, że nie może on wziąć czynnego udziału w tych rozmowach, przesądził o jego decyzji wycofania się z dyplomacji i włączenia do wewnętrznej polityki amerykańskiej.

Trzecim zagadnieniem, któremu w ostatnich dniach wiele miejsca poświęcono na łamach prasy światowej, jest rezultat wyborów powszechnych we Włoszech. Wprawdzie rządowa koalicja centrolewiczy dysponował będzie w Izbie Posłów teraz 6 mandatami więcej niż poprzednio — w niczym nie może to osłabić poważnego zwycięstwa wyborczego najsilniejszej partii opozycji — Włoskiej Partii Komunistycznej. Jej kandydaci uzyskali ponad 8,5 mln głosów, tj. o 300 tysięcy więcej niż w 1963 roku.

Nawiązując do tego sukcesu sekretarz generalny tej partii — Luigi Longo wyraził pogląd, że „nad Europą przechodzi obecnie wielka fala demokratycznej odnowy i zwrótu w lewo”.

Z analizy głosów, jakie padły za Wł.P.K., wynika, że jej klientelę wyborczą w dużym stopniu stanowiła młodzież.

W. ŚLAWSKI



Z teki L. T.F.

Fot. A. Solarz

## Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Środa

Gdybym chciał na tym skromnym miejscu wymienić tylko wszystkie imprezy rozpoczętej dziś Pabianickiej Wiosny Kulturalnej — miejsca by nie stało. ZMS-owcy z tego sympatycznego miasta zadebiutowali rzeczywiście z rozmachem. Bo to i przegląd szkolnych chórów, programy estradowe, quizy, spotkania z aktorami, pisarzami no i — oczywiście, z Jadwigą Wajs — najbardziej chyba znaną mieszkanką Pabianic, jedną z pierwszych medalistek Polski na Olimpiadzie. Aby jednak wszystko miało swą rangę i moc urzędową — przewidziano też Wojewódzki Sejmik Kultury — oczywiście z referatem i dyskusją. Dyskusja nad sprawami kultury nigdy jeszcze tej ostatniej nie zaszkodziła, więc i tu z pewnością młodzi działacze dojdą do pewnych wniosków i sformułowań. Ważne jest jednak co innego. Niezależnie od narad, referatów i dyskusji — pabianicy ZMS-owcy umieją po prostu w praktyce realizować hasła i postulaty kultury upowszechnionej. I to jest najważniejsze — ta umiejętność działania, która jest zawsze potrzebniejsza od najładniejszych deklaracji.

Wtorek

Jest więc w Łodzi redaktor laureatus! Właśnie nadeszła z Warszawy wiadomość, że wśród laureatów dorocznego nagród prasowych znalazł się łódzki dziennikarz red. Henryk Rudnicki z „Głosu Robotniczego”. Red. Rudnicki, bardziej jest znany jako Hendryk, bo tak właśnie podpisywał swoje felietony, w których mówi o starej Łodzi i sprawach dnia. Dziśszego, notuje anegdoty i tzw. prozę życia. Za te właśnie felietony popularny Hendryk otrzymuje właśnie dziś nagrodę. Swoje „Ze środy na piątek” pisze już Rudnicki od dwudziestu kilku lat — jak słychać kompletnie z nich książkę, a będzie to prawdziwy bestseller dla miłośników Łodzi, jej tradycji i bezpowrotnie już zanikającego kolorytu. Kawalek tej niepowtarzalnej atmosfery przedwojennej Łodzi ocala od zapomnienia właśnie dzisiaj — redaktor laureatus — Henryk Rudnicki.

Czwartek

Nie da się ukryć — maturo mamy już z głowy. Tzn. mają je z głowy tegorocznymi abiturientami. A była to tego lata spora armia — 10 tysięcy dziewcząt i chłopców przeżywało egzamin, którego nigdy nie zapomną. Choć oczywiście nie tak bywało drzewiej, choć dziś egzamin maturalny to zwykła „pestka”. Przy tylu ułatwieniach nie zdać matury może tylko wyjątkowy małot. Matura nie jest więc tą naprawdę „trudną maturą” sprzed 10-15 lat — ale atmosferka podniecenia i nerwów pozostała. Choć sądzę, że bardziej denerwują ją mamy niż sami maturzyści. Na 10 tysięcy „dozależ” już młodzieży — po-

nad 5 tys. to maturzyści z dyplomami techników. Większość maturalnej armii pomaszkuje na wyższe uczelnie. Największym powodzeniem cieszy się nadal Uniwersytet — wybiera się tam z liceów ogólnokształcących — 1600 osób. Zmniejszył się chyba run na medycynę — wybiera te studia 320 łódzkich maturzystów. Niestety obserwujemy — od lat zresztą — niepokojące zjawisko dysproporcji między liczbą kandydatów na studia uniwersyteckie a chętnymi do kontynuacji nauki w wyższych szkołach technicznych. Świat idzie naprzód — rozwój techniki także, a młodzież planując swoje życie w sposób więcej księżycowy. Filologów i historyków potrzeba także — ale gospodarka narodowa potrzebuje przede wszystkim inżynierów. Trudno mieć pretensje do młodych, że o tym nie wiedzą — gdzie są jednak ci dorośli, którzy im powinni te sprawy uświadomić.

Piątek

No i ruszono w tany — rozpoczęły się Łódzkie Spotkania Baletowe. Impreza — niezależnie od artystycznej rangi, na temat której trudno mi się wypowiadać — zorganizowana jest z tzw. bigiem, bo to i efektowne plakaty, huczek w prasie, imprezy towarzyszące... O jednej z tych ostatnich warto powiedzieć słowo. Mowa o wystawie fotografów znakomitego artysty-fotografika Jerzego Neugebauera. Temat — balet. Wydawać by się mogło, że to temat — samograj narzucający efektowność, barwę i ruch. Ale Neugebauer jest artystą ambitnym — chciał pokazać także, a może przede wszystkim, wysiłek, ciężką pracę, pot i zmęczenie na sali prób, które składają się na ostateczny efekt, zwiewny ruch i płynny, lekki gest na oświetlonej reflektorami scenie. Tak też i podzielił swoje fotografie, Czarno-białe ukazują ćwiczenia, próby, wysiłek i zmęczenie — barwne ukazują sceniczny kształt — widowisko. Te ostatnie prace są siłą rzeczy bardziej efektowne, bardziej malarskie — „czarno-białe wysiłek” jest więc na tej wystawie nieco przytłumiony. Neugebauer martwi się tym, mówi, że bardziej zależało mu na pokazaniu pracy, po prostu pracy baletu niż widowiska. Ale myślę, że artysta niepotrzebnie się tym niespodziewanym efektem wystawy trapi. Balet z samej swojej natury „żyje” dla widowiska. Kulisy, owa ciężka praca, to podstawa sukcesu, ale widza interesuje ona mniej. Nic więc dziwnego, że przed barwną fotografią gromadzą się tłumy, ledwo spojrzawszy na „czarno-białą” pracę. Widać tak musi być. Wystawa otwarta w Teatrze Wielkim wzbudza

duże zainteresowanie wśród miłośników i sług Terpsychoro — jesienią wzbogacana i rozbudowana znajduje się w salonie LTF przy ul. Piotrkowskiej.

Sobota

Dni Oświaty, Książki i Prasy skończone. W notatniku zostawmy więc ślad — bilans naszej kultury. Liczby są najwymowniejsze — posłużmy się nimi. W roku ubiegłym wydano w Polsce prawie 10 tys. tytułów książek o łącznym nakładzie 105 mln egz. Dodajmy, że w tej liczbie tytułów ponad 44 proc. zajmują książki naukowe. Gazet ukazuje się u nas — 54 — ich jednorazowy nakład przekracza 7,4 mln egz. Bibliotek działa w Polsce — 50.301 — dysponują one księgozbiorem liczącym 180 mln egz... Dość jednak wliczanki, nie trzeba aż Dni Oświaty, aby prawdy na temat upowszechniania kultury przypominać. Robimy to na dobrą sprawę przez cały rok. Więc dziś tylko te kilka skromnych liczb, pokazujących wcale nie skromne osiągnięcia.

Niedziela

„Kryminały” czytają wszyscy — od taksówkarzy do profesorów uniwersytetu. Kiedy nas bowiem zmęczy tzw. literatura z ambicjami dobrze jest odprężyć się za pomocą nieskomplikowanej fabulki z happy endem. A więc wzięliśmy w niedzielne popołudnie do ręki książeczkę pt. „Ruda modelka” napisaną przez p. Dominikę Damianą. Przypadkowo wiem, że z autora jest akurat taki Damian jak ze mnie Widok — może właśnie dlatego liczyłem na dobrą rozrywkę. Niestety. Coś musi być w tych „kryminałach”, że nawet wybitny pisarz zabierając się do „Srebrnego Kluczyka” pisze tak, aby nie zostało odrobiny śladu talentu, warsztatu pisarskiego — z tego wszystkiego co jest „zarezerwowane” dla literatury. „Kryminał” natomiast jest chałturą i pisarz (nawet wybitny) rezygnuje w nim nawet z korekty. Oczywiście „Ruda modelka” napisana jest zgrabnie tylko... akcja dzieje się na Księżycu. Nie ma takiej Polski, takich dziennikarzy, załóżek wyplacanych przez redaktorów naczelnych... To wszystko działo się 40 lat temu, kiedy p. Damian miał jeszcze widać żywszy kontakt z życiem. Polska lat sześćdziesiątych pokazana przez p. Damianą jest obrazem tak naiwnym, że czytelnika aż skręca ze złości. Złozczę się na tę książkę tym bardziej, że jako dziennikarz czytam w niej bajki o pracy dziennikarza w PRL. P. Damian musiał widzieć redakcję bardzo dawno i to chyba z daleka.

JERZY WIDOK

# ZAPISKI PROWINCJO NALNEGO WYDAWCY

Międzynarodowe Targi Książki, otwarte tego roku po raz już trzynasty z rzędu i tym razem sprawiają imponujące wrażenie. Zwiedzałem je w niedzielę, ostatnią niedzielę wielkiego kiermaszu książek pod Pałacem Kultury. Pogoda była wyjątkowo paskudna, co jakiś czas spadały ostre, zimne deszcze, a nawet grad, który zdawał się potwierdzać, że wszystko na tym świecie jest możliwe. Aby niezwykłych, jak na ko niec mają atrakcji, było dość — grzmotał sobie w sam czu bek Pałacu Kultury bardzo przyzwoity piorun. Warszwacy to jednak naród twardy, rozpedzani przez deszcz i grad, skrzykiwali się na nowo i wystarczyła odrobina słońca, aby ich znowu było pełno przy stoiskach, gdzie trzęśli się z zimna pisarze.

Kiedy przekonałem się na własne oczy, że mój własny podpis nie przypomina już w niczym mojego własnego pod pisu, taki jest rozrzeszony, dałem nura w głąb Pałacu Kultury. Stoiska przypominają barwne bukiety, książki — niczym kwiaty — pokrywają nie kończące się lady, stoły, gabloty. Stoisk jest 284, rozłożonych na czterech piętrach, a zajmują 4.100 metrów kwadratowych. Wystawia łącznie 2.400 wydawców, liczba książek eksponowanych na Targach sięga 60 tysięcy egzemplarzy. Zawrotu głowy można dostać.

Przyznam, że na początku urzekła mnie bardzo złożona atmosfera Targów. Bibliofile zachowują się jak w kościele, pieszcza z nabożeństwem bardziej okazale książki i rozma wiają ze sobą szeptem. Młodzież przeciwnie — biegnie od stoiska do stoiska i ściga ze stołów barwne prospekty. Jest to prawdziwe polowanie na błyskotki, w kątach tworzą się pierwsze i bardzo hałaśliwe giełdy, trafiałem akurat na okres, kiedy ślicznie wydana przez sławną oficynę w Lipsku albumowa rzecz o Gutenbergu i listach cypryjskich, stała bardzo wosko. Nie dziwię się, sam z dużym trudem ściągnąłem z lady ten cenny prospekt. Nasi specjaliści — lekarze, inżynierowie, naukowcy różnych specjalności w skupieniu studiują wydawnictwa Pergamonpressu, czy edycje książkowe sławnych Uniwersytetów w Oxfordzie i Cambridge, a znowu przedstawiciele naszych wydawnictw odbywają na poczę kaniu skomplikowane studia porównawcze — jakże tam oni wydają za granicą, jak w zestawieniu z nimi wygląda nasza książka?

Szerze mówiąc, nie najgorzej, powiedziałbym nawet, że w niektórych działach literatury jesteśmy stanowczo lepsi. Polska specjalność to przede wszystkim książki dla dzieci, pod tym względem trudno o konkurencję. Edycje nobliwe, bogato ilustrowane, zaprezentowali Włosi, znakomicie wygląda świat pięknie iluminowanych starych ksiąg wystawiany przez nowe czeskie wydawnictwo — Prago-press, przecież, jednak nasze zastużone Ossolineum wcale im nie ustępuje.

Wydaje mi się jednak, że w wydawnictwach seryjnych,

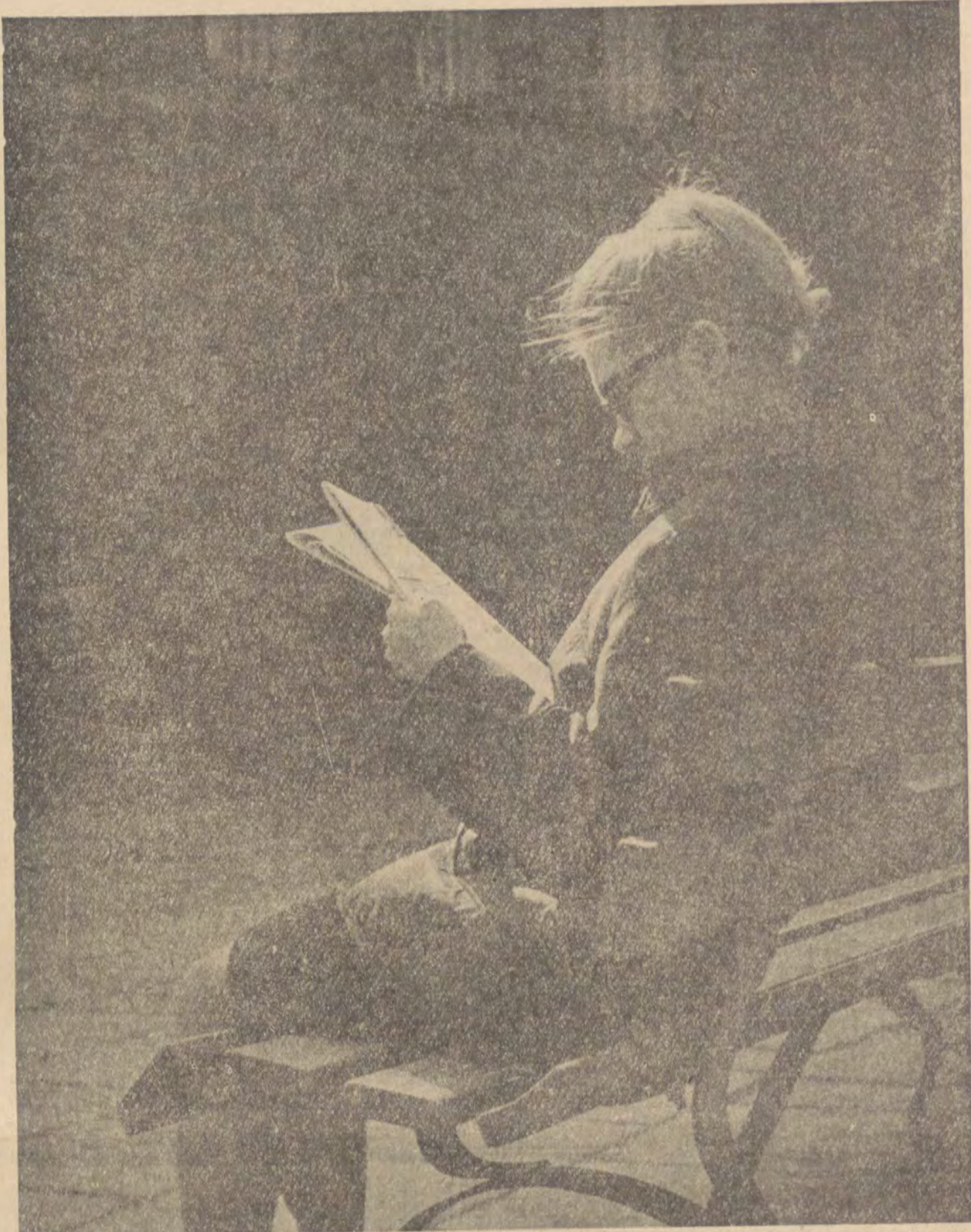
obejmujących zwłaszcza grupy rozmaitych pisarzy, doznajemy w tyle, daleko w tyle za Francuzami. Pod tym względem zaimponowali mi nasi koledzy z NRD, wydają bardzo interesujące serie książkowe o rozmaitych formatach i przeznaczeniach. Inna rzecz, że polskie serie, zwłaszcza zaś „Koliber” wydawany przez „Książkę i Wiedzę” są i owszem tanie, powszechnie dostępne.

Tak więc nie ma powodu do popadania w kompleksy, jeśli chodzi o poziom edytorski naszych książek. Mimo wciąż jeszcze nieco średnio-wiecznej techniki drukarskiej, podnosimy poziom naszych edycji, a przy okazji — niestety — czasem i ceny.

Jako wydawca prowincjonalny, łódzki, że tak powiem, nie miałem powodów do szczególnej radości. Stoisko Wydawnictwa Łódzkiego, i owszem, nawet poprawne, prezentujące sporo dobrej przecież prozy, poezji, czy książek popularnonaukowych, wygląda rzeczywiście prowincjonalnie. Po przeszło dziesięciu latach pracy edytorskiej nasza łódzka oficyna nie może pokazać właściwie żadnej pozycji reprezentacyjnej, czegoś, co wprawiloby w zachwy bibliofila. Ani jednego albumu, ani jednej serii książkowej, ani jednego tytułu, bogato zdobionego, eleganckiego, który mógłby wykazać poważne możliwości łódzkiej sztuki drukarskiej. Książki w jednakowym formacie tworzą zwarty szereg chciałoby się krzyknąć — równaj w prawo, kiedy człowiek na nie patrzy. A przecież mieści się w nich trud niekiedy bardzo dobrych pisarzy. Jeden ze zwiedzających powiedział, że to aż dziwne, niby Łódź, ale w naszej oficynie tamtych wielkich łódzian nie uświadczysz, gdzie Reymont, Tuwim, Strug? Właśnie — gdzie?

Mimo woli myślałem sobie w stolicy nad decentralizacją klasyków. Nie ma jej dotąd, przeciwnie, klasycy są scentralizowani od lat, ci np. zrodzili z Łodzi i ziemia łódzka wie moga jakoś opuścić Warszawy, i właśnie ta sytuacja czyni z nas wydawców prowincjonalnych, pozbawionych praw do odnawiania własnej tradycji literackiej. Przymyślałem co jakiś czas oczy, żeby oderwać się od oszalamiającego widoku wielobarwnych książek. Ale właśnie wtedy, pod przymkniętymi powiekami, widziałem pięć cokolwiek książek oficyny łódzkiej przeznaczone dla dzieci, widziałem doprawdy piękną edycję dzieł Reymonta, no, ale jak długo można przymykać oczy? Należałoby raczej zatykać uszy. Zatykać dlatego, że na własne uszy słyszałem zapewnienie o zupełnie realnej możliwości wy-dawania Reymonta w Łodzi. Gdybym ja, prowincjonalny wydawca, miał wtedy uszy zatkane, nie dziwiłbym się wypowiedzi przedstawiciela PIW — który zapowiada wydawanie właśnie tego, co nam przyrzęcono.

Przyszło mi w pewnej chwili na myśl, że sytuacja dojrzała do tego, aby zebrali się gdzieś, może właśnie w Łodzi, ci tak zwani prowincjonalni wydawcy, aby przedyskutować swoją przyszłość. Niektórzy z nich, że podam dla przykładu Wydawnictwo Poznańskie, czy Śląsk, bardzo już są zastużeni i chcą, bardzo chcą rozwijać się dalej. Więc powiadam — pomyślałem sobie, że jakbyśmy się w kupę wzięli, to bvmśmy przecież się nie dali — jak mówi poeta.



Z tekstu L.T.F.

Fot. M. Bartoszewski

## Nożycami przez PRASĘ

### WIDZIANE W LONDYNIE

W „Kulturze” znajdujemy artykuł Zbigniewa Bonieckiego, referujący antypolską kampanię syjonistyczną w Londynie. Autor zaczyna od przebiegu uroczystości, związanej z uświetnieniem piątej rocznicy powstania w Getcie Warszawskim w Krolewskim Teatrze Drury Lane, której nadużyto do najwzburniejszych oszczerstw. Wyodrębniło się jedynie jedno wystąpienie: Od tonu tych szowinistycznie-religijnych wystąpień całkowicie odległa spokojna przemowa preza British Broadcasting Corporation BBC, lorda Hull of Luton. Było ono wyrazem przestrogi dla ideologów syjonizmu, którzy w Izraelu wcielają w życie bezwzględne zasady dyskryminacji wobec mniejszości arabskiej, aby uprzedzenia nie mogły zatruwać naszego istnienia.”

Pisze również Boniecki o wielonakładowych książkach antypolskich. Nie pomija reakcji Polonii, podając m. in., iż w druku znajduje się książka b. szefa wywiadu KG Armii Krajowej, płk. Kazimierza Franka-Osmęckiego, pt. „Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939—1945”.

Oprócz informacji artykuł za wiera istotne rozważania. Wobec absurdalności oskarżeń pod adresem Polski i Polaków, jakie są treścią kampanii syjonistycznej, może się nasuwać wątpliwość: czy nasze przeciwdzia-

łanie jest w ogóle potrzebne. Py-tanie to tym bardziej może się wy-dawać uzasadnione, że pełne nienawiści ataki na Polskę są — mimo niebagatelnych wpływów i środków jakimi dysponu-ją organizacje syjonistyczne — prawie całkowicie izolowane, że próby wyjścia poza srogowiska żydowskie, a nieraz nawet sy-jonistyczne, kończą się fiaskiem. Mimo postępującej izolacji oszczerców nie można jednak liczyć na to, że prawda o cza-sach pogardy i postawach nar-rodów wobec zbrodni ludobój-stwa przetrwa sama. Fakt, że Polska walczyła od pierwszego do ostatniego dnia wojny swia-towej przeciw nazizmowi w wa-runkach najstraszliwszego terro-ru i opłaciła to największymi ofiarami w ludzkości (dotyczy to również ofiar przy ratowaniu Żydów), jest zupełnie nieznanym większości młodzieży brytyj-skiej...

...Na terenie Anglii w ostat-nich dwóch latach ukazała się jako unikalna pozycja prawdzi-wie przedstawiająca postawę Po-laków w czasie drugiej wojny światowej i pomoc udzielaną ży-dowskiemu współobywatelom — znany już w Polsce program BBC, pt. „Warszawskie Getto”. Jego autor, dr Aleksander Bern-fes, który sam się uratował z getta przy pomocy Polaków, po święcił się po wojnie bez reszty gromadzeniu dokumentacji o bro-dni niemieckich.

Tak potrzebna tu książka Bar-toszewskiego i Lewinówny „Ten jest z ojczyzny mojej”, która czekała kilka lat na wydanie w Polsce, czeka teraz od dwóch lat na edycję przez wydawnictwo w Londynie do rękodzielnicy, Ambasa-dy oraz Instytut Kultury Pol-skiej dostały dotychczas tylko trzy egzemplarze tej pracy.

Książka ta, obok zapowiedzia-nej, publikacji płk. Franka-Osmęckiego, która również ma się ukazać po angielsku, będzie należała do unikalnych pozycji na rynku zachodnim.

Jakież wniosek?

Musimy i jesteśmy w stanie pomóc prawdziwie do głosu również i na Zachodzie. Możemy bowiem i tu liczyć na pokolenie, dla którego walka z hitleryzmem jest częścią własnego życia.

Sprawę, niestety, dalszy się poszerzyć. Wiele zrobiono, przy najmniej w kraju, dla utrwalenia pamięci o stratach narodu polskiego, ale... W 1947 roku ukazała się na kiepskim papie-rze, nakł. S. Arcta, książka, która zawdzięczamy przede wszy-stkim wysiłkowi jednego czło-wieka, prof. Bolesławowi Olsze-wiczowi. Na 336 stronach znaj-dujemy niekompletny i wyma-gający weryfikacji w szczegó-lach wykaz nazwisk objętych wy-mownym tytułem: „Lista strat kultury polskiej”. Zdawałoby się, że tego rodzaju pozycja, opracowana w oparciu o wiek-szy aparat, od dawna powinna była ukazać się nie tylko po polsku, ale w kilku językach.

### OBYCZAJE

Medytacje nad obyczajami, ja kie panują w różnych naszych środowiskach, sferach i wyse-gnacjach, nadal psują się nie tylko socjologów, pisarzy i dzien-nikarzy, ale także i czytelników. Bydgoski dwutygodnik „Po morze” przyniósł oryginalny „tryptyk” — obserwacje ze stu-dium, z odpustu, ze stypy. Migawka po rodzinnym powro-cie z emigracji:

Jedzono chętnie nie tracąc do-brego samopoczucia. Nie zapomniano także o drobnych niespu-dziankach. Sąsiedni pokój, ku uciesze panów, przekształcono dowcipnie w bufet, z trunkami. — „Do telefonu! Panowie, do telefonu!” — wolano, przymru-zając domyślnie oko. „Panie, za specjalną protekcją także mogą podzwonić...” Przyszłać trzeba, że raczej chętnie korzystano z

telefonicznego apelu, odbywając coraz dłuższe rozmowy, wstraj ozywiał się z każdą chwila. Po dokładnym ustaleniu pokrewień-stwa z dalszych linii rodowych strzelano przyjazne bruderszaf-ty, przekazywane także aktualnie z „telefonu” wyraznie roz-grzały schorowany organizm. — „To nie dla pań, nie dla pań” — grzmił dobradusnie, ciotkom — pronom... — „może... w tro-dze wyjątku... na uszko...” obie-cywał łaskawie. W sąsiednim pokoju włączono telewizor, przed którym usiadło zaraz kilka osób. „Dla każdego coś miłego” — zdawał się mówić goscinny dom. Na stół w międzyczasie wjechały torty, paczki i kawa. Szawgier po linii matki staran-nie oddzielał kram od biszko-powego ciasta, gdyż mogły mu te, jak twierdził, słodkości, spo-wodować zgagę.

A może należałoby więcej pi-sać o braku obyczajów?

### BŁĘDNE KOŁO

„Życie Gospodarcze” — stosun-kowo często przez nas cytowa-ne, gdyż tylko kiep może lek-cewazyć sprawy gospodarcze — prowadzi również rubryczkę o-lżejszym kalibrze, „żywocik gos-podarczy”. Wyowna notatka z tej rubryczki:

Wojewódzka Komisja Cen we Wrocławiu, odpowiedziała na prasową interwencję, że nie mo-że zarządzić obniżenia cen psu-jących się pomarańczy, ponie-waż to leży w kompetencjach Warszawy. Ponadto niemożliwe jest w ogóle obniżanie cen, gdyż za wysoka na to jest cena sku-pu skórek od pomarańczy i wtedy ludzimi opłacałoby się kupować owoce, wyrzucać miąższ i odprędzać skórki. Cena skupu skórek jest zaś nienaru-szalna, gdyż skalkulowane ją po chętnie od ceny pomarańczy, na czym koło się zamyka.

JAN OLECHNO

# Ludzie spod znaku otwartej księgi

Szermujemy na co dzień w odniesieniu do różnych zjazdów i narad określanymi w rodzaju „sejmik budowlanych”, „sejmik medyczny” itp. Tym razem jednak z całą odpowiedzialnością można powiedzieć, że obradował w Łodzi prawdziwy „sejm wiedzy i kultury”. Zjazd wojewódzki Towarzystwa Wiedzy Powszechnej zasługuje na to miano — jest to instytucja spełniająca rolę nauczyciela i wychowawcy, propagatora wiedzy i agitatora — rolę istotną społecznie w kraju, gdzie wiedza stała się, jak chleb, artykułem pierwszej potrzeby.

2.

W swojej potrzebnej i efektywnej działalności TWP nie jest samo. Z otwartą księgą wiedzy widniejącą na emblemacie, Towarzystwo idzie do świetlic, klubów i domów kultury razem z organizacjami społecznymi i młodzieżowymi. Szczególną zaś pomoc i opiekę otrzymuje z komitetów powiatowych PZPR. Wyrazem tego są analizy działalności TWP dokonywane na posiedzeniach egzekutyw. Oczywiście, sprawa nie kończy się na posiedzeniach i analizach. Wnioski, jakie z nich wypływają, realizowane są w praktyce.

Zwiększa się także nieustannie zainteresowanie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego działaniem TWP. Wielu jest prelegentów — członków ZSL, wielu przedstawicieli tego stronnictwa zasiada w powiatowych władzach TWP.

Przy Zarządach Powiatowych TWP powstają też Komisje Młodzieżowe, będące wyrazem współpracy ZMW z tym potężnym propagatorem wiedzy, jakim jest Towarzystwo. A potrzeby współpracy nie zrodziły odgórne zarządzenia, a samo życie. Działa przecież w województwie ponad 800 klubów „Ruchu” i klubów Młodego Rolnika, gdzie gospodarzami są młodzi. Większość tych właśnie klubów obejmuje TWP swą działalnością, organizując tam stałe placówki i punkty odczytowe.

3.

Niezwykle wysoko cenimy sobie współpracę z Wojewódzką Komisją Związków Zawodowych — mówili na zjeździe działacze TWP. I rzeczywiście. Do nielicznych należą placówki kulturalno-oświatowe związków zawodowych, w których Towarzystwo nie prowadzi swojej działalności. Natomiast w wielu wyżej zorganizowanych domach kultury działają równoległe studia i uniwersytety o najróżniejszych kierunkach.

Przykładem mogą tu być placówki w Żychlinie, Głownie, Zgierzu, Nieświdzowie. Jak przystało na zdrowe zasady współpracy, TWP daje placówkom wykwalifikowaną kadrę wykładowców — domy kultury natomiast udostępniają „pełny asortyment” pomocy naukowych — magnetofonów, aparatów projekcyjnych, rzutników. Korzyść obopólna. A raczej korzyść dla tego „trzeciogo” — słuchacza.

Mówiąc o działalności TWP nie sposób pominąć tego wielojęzycznego fragmentu pracy, jakim są kursy języków obcych. Cieszą się one ogromną popularnością i to nie tylko dlatego, że w ogóle nabrałmy ostatnio przekonania do nauki języków. W roku ubiegłym na blisko 150 kursach uczyło się ponad 3 tys. słuchaczy. Największą popularnością cieszą się angielski, niemiecki, francuski i rosyjski. Niestety, pod do nauki u nas niewątpliwie istnieje — gorzej z systematycznością. Przykładem może tu być ilość grup nauki języka angielskiego. Grup „debiutujących” pierwszorocznych było w roku 1966/67 — aż 45, grup roku drugiego już tylko 25 — wreszcie ostatni, czwarty rok nauki „zaliczone” już zaledwie 9 grup. Ale to zjawisko raczej powszechne i nie wydaje mi się, aby właśnie TWP mogło temu od razu zaradzić. Faktem jest jednak, że jeśli ktoś chce i starczy mu wytrwałości — placówki Towarzystwa ze swoją wykwalifikowaną kadrą, w zrealizowaniu chwalebego zamiaru poznania języka innych narodów na pewno pomogą.

4.

Zakres zagadnień jakim dysponuje TWP — ten Totalny, Wszechobecny, Propagator — jest olbrzymi. Największą wszakże popularnością cieszą się medycyna, rolnictwo i pedagogika. Na 180 stałych placówek TWP — w 45 „wykłada się” medycyna, w 41 zagadnienia rolnicze i także w 41 zagadnienia pedagogiczne. Na ostatnich miejscach notuje się natomiast astronomie, filozofie, motoryzację.

Nie umając tym dziedzinom wiedzy, trzeba się jednak zgodzić, że powyższa sytuacja nie budzi sprzeciwu. Jasne, że wiedza z zakresu medycyny, higieny itp. na pewno jest „bliższej życia”, jest bardziej społecznie potrzebna niż np. rozważania na temat platońskiej idei. Nie też dziwnego, że słuchaczy bardziej interesuje, jak postępować z własnym dzieckiem lub czym chronić plony przed wolkami zbożowym — niż rodzaje prędkości kosmicznych i odmiany skrzyjni biegów.

Towarzystwo zna potrzeby i zainteresowania słuchaczy — do nich przystosowuje swój program działania. Nie oznacza to, oczywiście, zważenia zakresu wiedzy do ściśle „przemysłowych” potrzeb, ale świadczą, że społeczne zamówienie na określony temat jest realizowane przez TWP przede wszystkim.

5.

Nie zastąpi nieodpartej wymowy liczb. W roku 1963/64 odbyło się w Łodzi i województwie 3.197 odczytów zorganizowanych przez TWP. Prelegenci przekazali wiedzę z najróżniejszych dziedzin życia ogromnemu audytorium, którego liczba przekroczyła 180 tysięcy osób. Słuchacze ci zapelnili by mogli osiem łódzkich Pałaców Sportowych.

W roku ubiegłym natomiast wygłoszono 6.847 odczytów, a słuchało ich łącznie 334 tys. osób. Tego audytorium nie dałoby się już zmieścić pod dachem — byłyby tu potrzebne aż trzy warszawskie Stadiony Dziesięciolecia.

Liczby te świadczą o rozwoju działalności oświatowej Towarzystwa — mówią o tym w sposób monumentalny, lecz całocisty. Warto więc przy okazji zwrócić uwagę na sprawy frekwencji o której słyszy się nieraz, że szwankuje. Otóż nie jest z tą sprawą źle — w każdym razie nie tak źle, jak to się nieraz mówi. Spośród prawie 7 tysięcy odczytów w roku wylowiono zaledwie 647 takich, na których ilość słuchaczy była mniejsza niż 20 osób. Świadczy to o niewątpliwych umiejętnościach organizowania sobie słuchaczy, co nie jest sprawą łatwą w działaniu głównie na terenie województwa, w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych.

I w tym miejscu chyba czas podkreślić ową społeczną rolę i funkcję, jaką spełniają placówki TWP w województwie. Działalność Towarzystwa wypełnia jakąś lukę w systemie pracy kulturalno-oświatowej w tzw. „głębokim terenie”. W dużym mieście — nawet powiatowym — jest do wyboru kino, kawiarnia, parę świetlic i klubów, teatr objazdowy, występy estradowe zawodowe lub amatorskie... W głębokim terenie ten wybór jest daleko mniejszy — i właśnie tam TWP proponuje ludziom swoje usługi.

7.

I tak, na 180 Uniwersytetów Powszechnych i studiów, 115 działających wsi i w miasteczkach poniżej powiatu. W konkretnym działaniu ten właśnie „kierunek natarcia” okazuje się słuszny. Wypełnia lukę w praktyce kulturalno-oświatowej, realizuje konkretne społeczne potrzeby, społeczne zamówienie na wiedzę.

Towarzystwo Wiedzy Powszechnej rozpoczęło swą działalność dość dawno, bo w roku 1950. Nikomu wówczas nie śniło się nawet las telewizyjnych anten na dachach domów. Wówczas prelegent miał niejako monopol na żywe słowo, niosące aktualne żywe treści. Dziś rzecz wygląda nieco inaczej — mamy na co dzień we własnym domu żywe słowo wzbogacone żywym obrazem z telewizyjnego kineskopu.

Tak więc rozwój środków masowego przekazu — zwłaszcza rosnąca rola telewizji, zobligowała TWP do szukania rozwiązań wynikających z łączenia tradycyjnych metod upowszechniania kultury z metodami nowoczesnymi.

Narodził się telewizyjny, głównie jednakże śmieciowy prelegent. Na przykład, uwzględniając dużą popularność Teatru Telewizyjnego wprowadzono do Studium Wychowania Estetycznego dyskusje nad oglądanym spektaklem. Nie trzeba dodawać, że forma ta cieszy się szczególnym powodzeniem. Ale to nie wszystko. Istnieją także (w Zgierzu, Ozorkowie i innych miastach) punkty odczytowe działające wyłącznie w oparciu o program telewizyjny, głównie



Z teki L.T.F.

Fot. Z. Czyż

o magazyn wydarzeń międzynarodowych. Także i ten cykl „Światowidła ciąg dalszy” — zdobył sobie zaśluszone powodzenie wśród słuchaczy.

8.

Zmieniło się wiele od lat pięćdziesiątych, kiedy to zapaleny bazujący na skromnej wiedzy „Notatnika prelegenta” przemierzali Ziemię Łódzką z odczytami, na których zjawiała się soltyś, dwu aktywistów ZMP i kilkorok dzieci. Dziś TW dysponuje naprawdę wykwalifikowaną kadrą lektorów i wykładowców, w wielu wypadkach pracowników naukowych wyższych uczelni. Dziś działają setki stałych placówek

odczytowych, Uniwersytetów Powszechnych, studiów, kursów... Dziś wieloletnie audytorium zdobywa wiedzę o życiu i do życia potrzebna.

Pozostał ten sam emblemat Towarzystwa — otwarta księga z literkami TWP, pozostały te same cele i zadania, ta sama społeczna rola i funkcja propagatora wiedzy... Zmieniły się warunki działania, rozszerzyły możliwości i zakres, ulepszone metody i styl pracy — TWP obróbiło w niezaprzeczalne osiągnięcia i sukcesy. Ale oni — ludzie, którzy noszą w klapie metalowy znaczek z otwartą księgą — chcą swą ogromną pracę prowadzić jeszcze lepiej, szerzej, skuteczniej.

## HENRYK HARTENBERG

# Człowiek

### FRAGMENT PAMIĘTNIKI

„Nie, nie wolno tracić nadziei, synku”. Te słowa mojej matki, wypowiedziane przed rozstaniem, wyjęte teraz z tamtego czasu i po prostu przytoczone, mogą brzmieć nawet nieobiektywnie, banalnie. Wtedy jednak, dwadzieścia kilka lat temu, słowa te miały wagę błogosławieństwa danego synowi na nową i niebezpieczną drogę życia.

Kochałem swoją matkę i za jej matczyne serce i za umiejętność usmierzenia konfliktów wybuchających dość często w naszej licznej rodzinie na tle różnic charakterów, nawyków, poglądów, dążeń.

Kochałem za niebywałą wrażliwość na ludzkie nieszczęście i głębokie poczucie sprawiedliwości.

Z Warszawy wyruszyłem o święcie i nigdy już więcej nie zobaczyłem mojej matki.

Pogoda tego dnia była okropna. Deszcz padał bezustannie, tworząc na szuranych ulicach miasta nieprzebrane i mętne kałuże.

W drodze do Radzyna, gdzie

mieliśmy się spotkać z resztą grupy, nie zdarzyło się nic szczególnego.

W wojskowym płaszczu i w zabłoconych artyleryjskich butach dotarłem szczęśliwie do miasteczka.

Tam zastałem wszystkich oprócz Adama, ale ten i tak przyjechał, dosłownie w ostatniej chwili, jakimś rozlatującym się wozem chłopiskim.

A więc było nas ośmiu przyjaciół, z którymi spotykaliśmy się poprzednio na wielu zebraniach, demonstracjach i wiecach młodzieżowych. Ośmiu towarzyszy związanych ze sobą od wielu lat niełąną pracą polityczną.

Jedynie „Rudego”, który wyrwał się z więzienia w Rawiczu, by wziąć udział w obronie Warszawy, znało tylko dwóch z naszej grupy, ale to nie miało znaczenia, a poza tym historię jego życia, a zwłaszcza ostatnich lat, opowiedzieli nam obszernie Adam i Natan.

Po narodzie w lesie pod Radzyminem postanowiono udać się do Białogostku. Marszrutę ustaliliśmy przy pomocy mapy.

Każdy z nas miał ponosić odpowiedzialność za całość grupy, wszystkich miała obowiązywać taka sama dyscyplina. Postanowiono wędrować tylko o zmierzchu lub nocą, nawijając po drodze kontakty z przyjaciółmi, których znaleźliśmy do wybuchu wojny.

Na kierownika grupy wybrany został „Rudy” — specjalista „od spraw wojskowych” — jak go zarekomendował Natan.

Po wielu dniach marszu, głodu, zimna i lęku, nocowania w świętych ruinach i opuszczonych rowach przeciwlotniczych, po wielu dniach przedzierania się przez lasy i ukrywania wśród ludzi, którzy nas przyjmowali z serdecznością — dotarliśmy w okolicach Małkini do niewielkiej, odludnej kółki. W jej głębi dostrzeżliśmy kilka zabudowań, tworzących jak gdyby jedną całość. Było to już niedaleko „nowej i wciąż płonącej granicy”.

Niby to cieszyliśmy się, ale nie-

pokój nie ustępował... A może Niemcy przycałali się tutaj, właśnie tutaj, blisko żelaznego mostu i doskonale nas w tej chwili widzą? Może już przedtem dostrzeżli? I co za ludzie mieszkają w chatkach, które trochę egzaltowany Jakub — z góry już nazwał „cudowną wyspą”.

Zaszliśmy się w zarośla. Wieczorem zdecydowano, że ja pójdę zbadać sytuację.

Starłem się iść bezszelestnie i czulem jak mi serce drży. Nie zapomniałem niepokoju z jakim zapukałem do okna, a właściwie okienka. Odpowiedziała głucha cisza.

Powtórzyłem pukanie głośniejsze, i tym razem nikt nie odpowiadał. W dodatku księżyc wyszedł spoza ścian drzew i świecił tak jasno, że ja, i mój cień, byliśmy na pewno widoczni z bardzo daleka.

Czy tu nie ma ludzi? Czy nie znajdziemy w tym „pasie granicznym” ani jednej żywej duszy? Jakże dręcza mnie takie właśnie pytania, na które może paść w jednej chwili jednoznaczna i bezlitosna odpowiedź. Czuję, jak pot występuje mi na czoło i jak mi wiązgnięją ręce.

Znow pukam guzikiem z orzełkiem, przyszytym do rękawa płaszcza. Tym razem głośniejsze i natręczniejsze... Jakże długie jest takie czekanie...

Nagle otworzyły się drzwi i czuję jak silna ręka wciągnęła mnie do środka. Zdezorientowany nagłym porwaniem i ciemnością, w jakiej się znalazłem, nie mogłem dobrać do siebie głosu. Nie byłem też zdolny do jakiegokolwiek obrony. Głos nieznanego był głuchy, dochodził jak gdyby z głębokiej studni: „Niech się pan zachowuje jak najciszej — w domu są Niemcy!” No i, niech się pan uspokoi i przyprowadzi tych, co się ukryli w krzakach”.

I oto znaleźliśmy się o kilka metrów od Niemców, a przed nimi ukrył nas Człowiek.

Znow po latach wracam myślą do tych ośmiu ludzi, z którymi od

wielu lat łączył mnie wspólny cel. Wspólna praca w warunkach trudnych, bo nielegalnych — jest chyba najlepszą szkołą przyjaźni, szkołą wielkiego przywiązania.

Pamiętam, jak na kilka dni przed dotarciem w rejon Małkini, kiedy podeszliśmy o zmierzchu do spalonego Wyszkowa, usłyszeliśmy z tyłu nagle „halt” i z zarośli wyskoczyło dwóch żandarmów niemieckich. Trzymali nas pod muszką karabinów, zażądali dokumentów i gwałtownie dopytywali się, czy nie ma wśród nas „Jude”.

Struchleliśmy. Tylko „Rudy” — Jarek, zachował kamienny spokój. Zabandażowana ręka signał po dokumencie z plikiem pieniędzy (włożył chyba w ostatniej chwili) i podetknął pod nos Niemcom, dodając z wielką pewnością siebie, że z chorą żoną i kilkoma kolegami wraca do rodziców, żeby pracować u nich jako „Bauer”.

Przejrzeli dokumenty — (wszyscy garnęli pieniądze i wyrażając nadzieję, że najbliższy patrol „wyśle nas do piekła”, pozwolili nam odejść. Szybko zniknęliśmy w ciemności.

Ta chwila pełna grozy jeszcze bardziej nas wtedy związała. Nie mogliśmy wytłumaczyć sobie, dlaczego Niemcy pozwolili nam odejść.

Teraz jesteśmy tutaj. Nasze spojrzenia szukają się, czują to wprost przez ciemność panującą w pokoju. Jak bardzo bliscy są mi ci ludzie.

Najsilniej zapewne odczuwają zmianę, jakie zaszły, Esterka, ranna w nogę w dniach obrony Warszawy i Adam, z ręką ciężko poparzoną w czasie wynoszenia dzieci z płonącego domu.

Wypoczynek — chociaż krótki, pozwalał nabierać sił. Rannym zmieniały bandaż.

Dymiące mchy ziemniaków, zsiadłe mleko i razowy chleb oraz czekająca na nas świeża słońca — po prostu raj na ziemi.

Chociaż jestem bardzo wyczerpa-

ny, trudno mi zasnąć. Słyszę, jak ktoś przewraca się ciężko na śłomie, ktoś przez sen jęczy, ledwo dostychnym szepceniem wymawia czyjeś imiona, Esterka zdławionym głosem krzyczy w ciemną noc... Może przeżywa raz jeszcze swoją własną śmierć, z której nie może się otrząsnąć... A potem wszystko zaczyna się plątać i rwać... Gubię wątek myśli i zatracam się we śnie...

Budzi nas pukanie. Otwieram oczy. Przez szpary w okiennicach czują się zarość.

Gdzie jestem? Co to za dom? Ludzie, odległy świst pociągu i planie koguta...

Nieznamym, czyli nasz gospodarz jest wysokim, krępyim mężczyzną o ogorzałej twarzy i sumiastych włosach.

O nie się nie pyta, nie chce żadnych wyjaśnień, mówi, że się domyśla, że to mu wystarczy, i że Niemcy opuścili ten dom o północy, ale dziś jeszcze nie będzie można przejść granicy, gdyż — jak się dowiedział od spitych żandarmów — odbywa się jakaś tam inspekcja.

Trzeba zatem będzie cierpliwie tutaj przeczekać jeszcze ten jeden dzień. Prosi, by zachowywać się cicho i nie podchodzić do okna. Przed odejściem dodaje: „Proszę mieć do mnie zaufanie; przeżywamy czasy bardzo ciężkie”. I jeszcze dodaje słowa, które tak, jak wspomniane słowa mojej matki, wyjęte z kontekstu czasu, mogą się wydawać frazesami, ale wtedy były dla nas wszystkim: „Trzeba pamiętać, że człowiek nigdy nie jest sam na świecie”.

Bywają okresy, kiedy każdy odruch człowieczeństwa graniczy z najwyższym bohaterstwem, okresy — „kiedy ludzie gardząc strachem, spełniają piękny obowiązek niesienia bezinteresownej pomocy drugim, okresy godności, dumy i woli stawiania oporu krzywdzie”.

Zadawałem sobie pytanie: „gdzie należy szukać źródeł takiego właśnie zachowania się wielu ludzi, co



SPOTKANIA  
Z  
PRZYBYSZEWSKIM

„I jeżeli choćkolewkie z mej twórczej działalności w oczyszczonej literaturze pozostanie — to w każdym razie to jedno, że stać mnie było na odwagę przekłamania usławnego „tabu”, a więc dotykać rzeczy, których tknąć „nie wolno”, stawiać się w poprzek usławnym kanonom, społecznemu, obłudnemu „cantowi” przeciwstawiać nieublagana, a tak niezmiernie przykrą prawdę...  
Pragnąłem rozkietnać człowieka, ujrzyć go nagim”.

(St. Przybyszewski, Autoportret)

Podczas jednego ze spotkań z nieślubną córką Przybyszewskiego, zdradziłem się wobec niej, że mam zamiar założyć z Witoldem Hulewiczem (Owidem) literacką spółkę wydawniczą — celem wydawania dzieł z literatury pięknej. Podobną spółkę pod nazwą „Vita Nuova” założyli już dwaj młodzi literaci: Krzysztof Radziwiłł i dr Edward Boye, którzy proponują nam fużę.  
Gdy dowiedzieli się o tym planie, jęła mię prosić, bym wystarał się o posadę dla niej w charakterze sekretarki, bądź też tłumaczki z obcych języków, że to byłaby dla niej „wymarzona posada”. Prosiła usilnie, bym wyjednał jej tę posadę. Od tej chwili dążyła mię serdeczniejszym uśmiechem i subtelną kobiecą kokieteryą. Wtedy też zrozumiałem należycie, jak źle czuje się kobieta o takich waiorach umysłowych w roli sprzedawczyni książek w maleńkiej księgarni.  
Tymczasem zaproponowałem późniejszej autorce „Sprawy Dantona”, by udzielała mi konwersacji języka francuskiego. Przystała na to chętnie i łatwo doszliśmy do zgody. Konwersacje odbywały się trzy dni w tygodniu po jednej godzinie, ze względów mieszkaniowych, w tej samej kawiarence. Panna Stanisława Przybyszewska nie chciała początkowo przyjąć wynagrodzenia; zgodziła się na nie dopiero wtedy, gdy jej wyperswadowałem, że za każdą naukę trzeba płacić. I tak, płaciłem jej za każdą konwersację polskimi markami, a raczej tysiącami marek, bo marka z każdym dniem traciła swą wartość.  
Konwersacje te i rozmowy wspominam dziś, po 46 latach z prawdziwym rozrzwieniem. Przybyszewska miała wielką zdolność nauczania.

Po kilku tygodniach, Witold Hulewicz zaproponował mi wspólny wyjazd na jego koszt do Poznania, celem zinventaryzowania rewanentu wydawnictwa „Zdroju” i zorganizowania przetransportowania wydawnictwa do Warszawy. Zgodziłem się na to niechętnie, związany już byłem z Hulewiczem nie tylko serdeczną przyjaźnią, ale również uplanowaną spółką wydawniczą. Wyjazd nastąpił niespodziewanie.

Poznań. Pierwszy dnia marca 1921. Przybyłem tam po raz pierwszy w życiu. Miasto bardzo mi się podobało. Poznałem tam dostojną matronę, panią Hulewiczową, matkę Witolda oraz jego brata, dramaturga — Jerzego. Obaj byli współwłaścicielami wydawnictwa „Zdrój”, oni też powierzyli w pewnym okresie patronat nad tym wydawnictwem Stanisławowi Przybyszewskiemu.

Przypadek zdarzył, że w czasie mego pobytu w Poznaniu bawił tam przejazdem Przybyszewski i odwiedzał Hulewiczów. Zaproszeni przez Hulewiczów, poszliśmy na obiad do jakiejś pierwszorzędnej restauracji. Tak okolicznościowo poznałem ojca panny Stanisławę. Z Przybyszewskim miałem wtedy sposobność zamienić tylko parę zdań i były one właściwie tylko moją odpowiedzią na jego zapytania, bowiem głównym tematem rozmowy przyobiedniej między Hulewiczami a Przybyszewskim była sprawa kontynuowania wydawnictwa „Zdrój” w Warszawie, względnie jego likwidacji. Hulewiczowie postanowili wydawnictwo zlikwidować, jego resztki przetransportować do Warszawy i na podłożu „Zdroju” założyć nowe wydawnictwo. Przybyszewski doradzał przenieść „Zdrój” do stolicy i dalej je kontynuować. Debaty były gorące, w trakcie której zjedliśmy suty obiad z czarną kawą i jakimś likierem Baczewskiego.

Któregoś ranka zimą 1925 r. odebrałem telefon. Dzwonił do mnie Stanisław Przybyszewski i pytał, czy mogę pofatygować się do księgarni „Lektor” przy ulicy Sienkiewicza, gdzie oczekuje mnie w sprawie osobistej w gabinecie dyrektora Kowalskiego. Odpowiedziałem równie uprzejmie, że zjawię się za pół godziny. Zdziwiłem się ogromnie, skąd Przybyszewski do mnie i po co zaprasza mnie „w sprawie osobistej”.

W gabinecie księgarni zastałem Przybyszewskiego, rozmawiającego z Kowalskim. Przybyszewski siedział przy biurku, a przed nim leżały dwie małe książki — redakcyjne przeze mnie, jedna z cyklu „Miniatury” i druga z Biblioteczki „Sapho”. Rozmowę wszczął Kowalski i przedstawił mi Przybyszewskiemu.

— Zdaje mi się, że gdzieś już pana wi-

działem — zagadnął mnie autor „Mocnego Człowieka”.

— Miałem przyjemność poznać pana zimą 1921 r. w Poznaniu przez braci Jerzego i Witolda Hulewiczów.

Przybyszewski głęboko się zamyślił...

— Możliwe, bardzo możliwe...

— Przenosiliśmy wtedy resztki wydawnictwa „Zdrój” do Warszawy i miałem zaszczyt towarzyszyć panu i Hulewiczom w wspólnym obiedzie, na który zaprosili nas Hulewiczowie.

— Ach, tak, pamiętam ten obiad z Hulewiczami, ale pana nie mogę sobie przypomnieć.

— Mistrz był bardzo zajęty rozmową z Jerzym Hulewiczem w sprawach „Zdroju”. Zostawiliśmy obu panów w jakiejś wielkiej restauracji, a my, z Witoldem Hulewiczem wróciliśmy do pracy.

— To my się znamy, Robaczku, i to już kawał czasu.

Odtąd byłem dla Przybyszewskiego „Robaczkiem”. Wziął kolejno do rąk obie książki, gratulował mi inwencji wydawniczej, doboru autorów, tematów, w końcu zapytał, czy byłbym skłonny wydać po jednej jego pracy w każdej książeczce.

— Bardzo mi się podobają te pańskie cacka. Wydał już pan Boya, Kasprowicza, Makuszyńskiego, Maeterlincka, Balzaca, Zapołską, Wilde’a, Verlaine’a — może i ja mogłbym coś dla pana opracować?

Wyraziłem wówczas zasadniczą zgodę na wydanie prac Przybyszewskiego po jednej w każdym cyklu, jednak pod warunkiem, że Przybyszewski wyjedna u dyr. „Lektora” dra Rogali-Lewickiego zgodę na publikację tego rodzaju, ponieważ „Lektor” wydawał wówczas na prawach monopolu zbiorowe wydanie dzieł Przybyszewskiego. Zastrzeżenia moje skwitował Przybyszewski zapewnieniem, że bierze na siebie ten obowiązek i żezwolenie takie wyjedna. W toku dalszej rozmowy zapytałem Przybyszewskiego, co zamierza dla mnie opracować, bo chodzi mi o materiał literacki odpowiedni dla obu bibliotek.

— Ja, Robaczku, niczego już nie wymyślę. Jestem za stary, myśl u mnie mało lotna, pan jest redaktorem i wydawcą, więc niech pan myśli, a ja tylko napiszę. Domyśliłem się z tego oświadczenia, że Przybyszewskiemu chodzi wyłącznie o zarobek, a mnie pozostawia wybór tematu.

Umówiliśmy się, że spotkamy się za tydzień w tym samym gabinecie, ja przyjdę z gotowym planem.

Przez kilka dni łamałem sobie głowę, co mogłbym zamówić u Przybyszewskiego dla Biblioteczki „Miniatury”, a co dla Biblioteczki „Sapho”, żeby diapazon obu tych serii nie ponosił uszczerbku na literackiej wartości, bo Przybyszewski był już w tym czasie minioną i zapomnianą wielkością. Stawa jego zbladła, a dzieła jego mało kto czytał. Wreszcie wymyśliłem dla moich bibliotek dwie pozycje Przybyszewskiego, oczekiwałem z niecierpliwością umówionego spotkania i byłem bardzo ciekawy, czy mistrz zgodzi się na mój pomysł.

Zjawiłem się punktualnie w umówionym dniu i godzinie na to drugie spotkanie. Przybyszewskiego nie zastałem; zjawił się z półgodzinnym opóźnieniem, za co mocno mię przeproszał.

— No i co wymyśliłeś, Robaczku? Jeżeli mistrz pozwoli i zgodzi się na moją propozycję, wymyśliłem dwie prace, które, moim zdaniem, byłyby odpowiednio dla moich bibliotek. Więc proponuję opracowanie dla Biblioteczki Safony: „Naga Dusza” — Myśli wybrane z dzieł pana, a dla Biblioteczki „Miniatury” — „Chopin w opinii obcych”.

Przybyszewski zerwał się nagle z krzesła, uścisnął mnie i ucałował.

— Robaczku, ty jesteś kapitalny. Ja bym czegoś takiego nie wymyślił. Zgoda, oczywiście zgoda! A ile ty, Robaczku, płacisz za wydanie takiej książeczki?

— Za jeden nakład w ilości 3.000 egzemplarzy otrzymuje każdy autor ryczałtowo zł 1.500, z czego 500 zł przy podpisaniu umowy, reszta płatna po wydaniu tomiku.

— Zgodziłem się na to, że nie mógł wykonać swoich zobowiązań.

— Nie mam żadnych zastrzeżeń, Robaczku, podpisujemy obie umowy, no... i jakaś zaliczka. Panie Tadeuszu! Pan tu będzie świadkiem naszej umowy.

— Nie tutaj, mistrzu, nie tu! Takie umowy podpisuje się w bardziej odpowiednim lokalu, więc zapraszam mistrza i pana na drugie śniadanie pod „Wiechę”.

Przybyszewski nie dał się prosić. Poszliśmy naprzeciwko do restauracji „Pod Wiechą”, podówczas słynnej z dobrej kuchni, której współwłaścicielem, Jankowskim, poznałem kilka lat przedtem w Krynicy, w willi „Szczerbiec”. Przybyszewski aż się poruszył z radości, gdy zauważył w karcie dań zająca z buraczkami i śmietanie. Szczególny smakolek mistrza!



Z teki L.T.F

Fot. Z. Czyż

Podpisałmy umowę, wypłaciłem Przybyszewskiemu paręset zł zaliczki za obie prace. Autor zobowiązał się w umowie dostarczyć oba rękopisy w terminie 3 miesięcy. Opuściliśmy „Wiechę” w optymistycznym nastroju. Największy optymizm wyniosłem ja z tej „Wiechy”, bo już widziałem in spe „rozpostartego na gwiazdach” Chopina w oczach Zachodu, w swoistym opracowaniu Przybyszewskiego i jego „Naga dusza” w obu cyklach moich bibliotek. Trzeba mi było tylko czekać cierpliwie trzy miesiące i mieć nadzieję, że autor „Homo sapiens” nie zrobi mi zawodu, choć zauważyłem, jak przy podpisaniu umowy ręce mu drżały.

Ale zaledwie minęły dwa tygodnie od dnia podpisania umowy, gdy pewnego ranka znów zadzwonił do mnie Przybyszewski i prosił z ekskuzą, bym pofatygował się pod „Wiechę”, bo ma do mnie bardzo ważną prośbę. Było to trzecie nasze spotkanie. Przybyszewski zakatarzony bardzo mnie przeproszał, że pracy jeszcze nie rozpoczął, że czuje się źle, ale pamięta o mnie i prosił o dalszą zaliczkę na poczet honorarium, w sumie 200 złotych. Wreczyłem mu chętnie żadaną sumę, on prosił mnie, bym nie mówił o tej zaliczce panu Kowalskiemu i zaraz mnie pożegnał.

Takich spotkań z Przybyszewskim było w sumie około dziesięciu; trwały one mniej więcej przez pół roku, w ciągu którego Przybyszewski wybrał zaliczkami prawie całe honorarium należne mu za oba tomiki, ale rękopisu, ani o „Nagiej duszy”, ani o Chopinie, mi nie dostarczył. Widocznie nie miał już siły, albo nie mógł wykonać przyrzeczonej umowy pracy, która objętością obejmowała trzy arkusze druku przeciętnej dziesięcioletniej książki. Chcąc jednak zadość uczynić swoim względem mnie zobowiązaniom, zaproponował mi wydanie zamiast prac objętych umową, małej jego broszury pt. „Polska i święta wojna”, objętość 85 stron druku, wydanej już raz w roku 1916, nakładem księgarni Mariana Haskiera, w Stanisławowie. Tę samą książkę wydał Przybyszewski w języku niemieckim w roku 1915 w Monachium pt. „Polen und der heilige Krieg”. Oświadczyłem wtedy autorowi „Moich Współczesnych”, że nie mogę powtarzać rzeczy dwukrotnie już opublikowanej, że chodzi mi o pozycje nowe, nadające się wybitnie do obu moich bibliotek, ale nie roszczę sobie do niego żadnych pretensji, jeżeli jakkolwiek przeszkoło czy też niedyspozycje wpłynęły na to, że nie mógł wykonać swoich zobowiązań.

Tak rozstałmy się bardzo uprzejmie i serdecznie latem 1925, gdy Przybyszewski osiadł już na stałe w Warszawie. Wkrótce po ostatniej naszej rozmowie otrzymałem od dyrekcji „Lektora” we Lwowie pismo, w którym dyrekcja zawiadamia mnie, że wobec ukazywania się zbiorowego wydania dzieł Przybyszewskiego nakładem „Lektora” — nie zgadza się na publikację żadnej pracy Przybyszewskiego poza „Lektorem”.

Przybyszewski był średniego wzrostu, szczupły, raczej wątłej budowy ciała. Miał przemiły, płytko osadzony głos o lirycznym, tenorowym brzmieniu, którym działał su-

gestywnie. Wiedza jego miała niezmiernie szeroką amplitudę; z prawdziwą rozkoszą można go było słuchać godzinami.

Gdy o coś prosił, twarz jego przybierała wyraz pokory, kiedy opowiadał, cedził dobitnie słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Wyglądał wtedy jak Satyr z jego trójkątną twarzą, ozdobioną siwą czupryną z siwą szpicbródką, z małymi, głęboko osadzonymi bardzo żywymi oczkami, które rzęczyły dookoła błyski i rzadko kiedy spoczęły na cierpliwym słuchaczu. Miał piękne, długie i wąskie palce, jakie zwykli mieć muzycy i malarze, palce zawsze niespokojne, którymi bębnił po stole, bądź też szafował w toku rozmowy, co czynił w sposób czarujący. Ilekroć myślałem o tym, który z polskich pisarzy byłby najodpowiedniejszy do prowadzenia dyalektyki z Przybyszewskim, zjawił mi się cień Bolesława Prusa.

Pewnego spotkania „Pod Wiechą”, gdy trafiłem na dobry humor Przybyszewskiego i mogłem zadawać mu pytania, prosiłem go, by opowiedział mi coś o Strindbergu, Dehmlu, Munchu i wielu innych swoich sławnych przyjaciół. Z przedziwną rozkoszą słuchałem wtedy jego długich wywodów na temat literatury, sztuki i muzyki zagranicznej, gdzie i jak grał Chopina i jak należy go grać.

„Nie lubię melodii, ale przepadam za tym rozszalałym wrzaskiem, chossem, rykiem — Kocham się w tym graniiu potężnym masami” — pisał kiedyś Przybyszewski jako 21-letni młodzieniec, by w przyszłości w ten sposób grać i interpretować Chopina.

Wówczas zapytałem mistrza: — Kogo uważa pan za większego poetę, Rilkego czy Dehmla?

— Ja wolę Dehmla. To wspaniały liryk. Na niebie polskiej literatury z okresu fin de siecle'u nie zabłysnął Przybyszewski jako gwiazda; zajaśniał jako przelotny meteor i zgasł w pełni sił twórczych. Mógł śmiało powtórzyć za Norwidem: „gwiazda ma być rozpaczna”. Dodajmy do tej rozpacz jeszcze tragiczne życie poety, które w pewnym sensie miało ważny wpływ na kształtowanie się jego twórczości, główną cechą jego twórczości było poszukiwanie „nagiej prawdy”, co sam podkreślał w swej książce „Szlakiem duszy polskiej”.

„Jedno z najpiękniejszych źródeł duszy ludzkiej jest poszukiwanie prawdy; znaleźcie ją — to tajemnica naszych wieszczów”. Bohaterowie utworów Przybyszewskiego, to przede wszystkim asocjalne, destrukcyjne i historyczne typy, kierujące się solipsyzmem i epikurejskim stylem życia, a to w imię absolutnej wolności duszy ludzkiej i wiecznego buntu przeciw narzuconym więzom moralnym i społecznym.

Dziś pisze się i mówi o Przybyszewskim bardzo mało. Wątpię też należy, czy doczeka się on renesansu. W literaturze polskiej pozostał jednak kilka trwałych pozycji. Są nimi: „Moi współczesni”, może „Śnieg”, może „Matka”, może jeszcze jakiś dramat.

Co do mnie, pozostanę do końca życia pod osobistym urokiem Przybyszewskiego za jego prostotę, serdeczność i szczerść w naszych osobistych spotkaniach.

Ale Paderewski całe życie żałował, że przyczynił się do powrotu Przybyszewskiego na ojczysty łono.

# Nad „Pamiętnikami” de Gaulle'a

Lektura trzeciego tomu „Pamiętników” de Gaulle'a, które niedawno ukazały się w przekładzie na język polski, nabiera — na tle ostatnich wydarzeń we Francji — posmaku szczególnej aktualności. Fala rozruchów, płynąca przez cały kraj, dowodzi jak bardzo niespokojni są Francuzi, niezależnie od tego, jakie siły i jacy ludzie zaangażowali się w te wydarzenia. Trzeci tom „Pamiętników”, noszący podtytuł „Ocalenie”, obejmuje lata 1944—1946, a więc schyłek wojny i pierwsze próby organizowania życia politycznego i społecznego w atmosferze osiągniętego pokoju. Wiemy z innych źródeł, że de Gaulle swoim umiętnym działaniem wywiódł Francję „z domu niewoli” i zapewnił jej udział w współrozstrzygnięciu powojennych losów Europy u boku wielkiej trójki, tj. Ameryki, Anglii i Związku Radzieckiego. Ale dopiero pamiętniki tego wybitnego człowieka unoceniają nam w sposób niestychanie konkretny i plastyczny, ile kosztowało go to trudu, ile musiał doznać porażek i upo-

korzeń, nim dzieło swoje doprowadził do zwycięskiego końca. Czasami wydaje mi się, że Francuzi nie zasłużyli sobie na de Gaulle'a. Z chwila, gdy pokonano hitlerzy i nastąpił okres pokojowej odbudowy, gdy cały kraj trzeba było podźwignąć z gruzów (zarówno w sensie materialnym jak i moralnym), we Francji natchmiast rozpoczęły się polityczne rozgrywki, walki polityczne i po prostu rozróby, które doprowadziły do trwałego kryzysu, żeby nie powiedzieć: rozkładu kolejnych rządów. Po ustąpieniu de Gaulle'a w roku 1946, przez następnych lat dwanaście (do nowego objęcia przez niego rządu w r. 1959) — 26 razy (słownie: dwadzieścia sześć) zmieniły się rządy we Francji. Najdłuższy utrzymał się przy władzy rząd Guy Molleta (ponad rok), wszystkie inne trwały od 4 dni (gabinet Henri Queuille'a) do 8 miesięcy (gabinet Mendes-France'a). Właśnie wtedy narodziła się u nas w Polsce następująca frazka (nie pamiętam jej autora):

Szkoda, że nie Francuzem, wtedy miałbym szansę  
Być premierem. Tam każdy rząd trwa trzy kwadranse.

De Gaulle, wytrwały polityk, dobry patriota i świetny pisarz, zdawał sobie od początku sprawę, jakie czekają go trudności po wojnie. Na kartach jego „Pamiętników” raz po raz dochodzą do głosu niepokój i obawy o dalsze losy Francji. W rozdziale pt. „Ranga” (na stronie 49) stawia on dramatyczne pytanie: „Czy naród francuski, najbardziej nieślasy i najkrajniejszy naród świata, długo będzie podążał za tym szefem rządu, nie powołanym przez żadną głowę państwa, przez żaden parlament lub plebiscyt i nie rozporządzającym żadną własną organizacją polityczną?” Kiedy czyta się te słowa, myśli się o Polsce i Polakach. My też byliśmy i jesteśmy narodem trudnym do rządzenia, ale przecież nie w tym stopniu, co Francuzi, na których tak bardzo się zapatrujemy.

Już przed wojną mówiło się o Francji, że toczy ją „choroba demokracji”, że nadmiar swobód, które jakże często przeradzają się w anarchię i chaos, przyczyni się do upadku tego wspaniałego kraju, o pięknych tradycjach i fascynującej kulturze. Autor „Pamiętników” nie szczędzi swemu narodowi słów krytyki, nie cofa się przed ostrymi zarzutami w stosunku do tych polityków, którzy doprowadzili kraj do zguby. Ale jednocześnie potrafi być wspaniałomyślny i wielkoduszny. Jakże znamienne są jego słowa, poświęcone tym sytom Francji, którzy musieli zginąć na skutek zaangażowania się we wrogim obozie. De Gaulle pisze o nich: „Francja apro-

buje wymierzoną im karę, lecz po cichu oplakuje swe umarłe dzieci. Jednakże czas robi swoje. Pewnego dnia ży wyschną, gniew minie, groby porosną. Ale Francja pozostanie”. Słowa godne wielkiego męża stanu. Nie ma w nich zajadłej nienawiści, jest żal ojcowski, że synowie stoczyli się na manowce. W „Pamiętnikach” de Gaulle'a, przełożonych znakomitą polszczyzną przez Jerzego Nowackiego, wiele mówi się o Polsce. De Gaulle'a cechuje nieklamana sympatia do naszego kraju i narodu, o czym mogliśmy się przekonać w czasie jego ubiegłorocznej wizyty w Warszawie i innych miastach. Źródłem tej sympatii należy zapewne szukać w podobieństwie narodów francuskiego i polskiego oraz w historycznej wspólnocie naszych dziejów. Liczne „polonica” to cenna część jego wspomnień.

Muszę też wyznać, że de Gaulle namalował jeden z najtrafniejszych portretów Stalina. Dopiero z jego „Pamiętników” można nabrać wyobrażenia, co to był za człowiek. Opis wielogodzinnej przyjaźni na Kremlu, w czasie którego Stalin pokazał się z każdej strony, należy chyba do najbardziej wstrząsających stron tego pamiętnika. De Gaulle przedstawił się tu nie tylko jako niezwykle bystry obserwator, nie tylko jako człowiek obdarzony doskonałą pamięcią, lecz także jako pisarz przedniej marki, który potrafił obrazowo, wnikliwie i bardzo celnie odtworzyć rzeczy widziane i sprawy przeżyte.

Z książek, czytanych przeze mnie w ostatnich miesiącach, żadna nie dorównuje sile „Pamiętników” prezydenta Francji. Czy wyjdzie on z obecnego kryzysu zwycięsko? Trudno przewidzieć. Ostatecznie człowiek dobijający osiemdziesiątego roku życia, jest w stanie zrezygnować ze wszystkiego i przejść na zasłużony odpoczynek. On sam napisał w swoim pamiętniku, że „przyszłość trwa długo”. Ano właśnie. Zobaczymy więc, jaka będzie ta przyszłość bliższa i dalsza.

# OBIEKTYW O TYM I O OWYM

Dzisiaj mam ochotę trochę poplotkować na tematy telewizyjne. Nie złośliwie, raczej dobrodusnie.

Nie mam pod ręką najnowszych statystyk, ale ilość telewizorów na naszym globie znacznie już przekroczyła sto milionów. Sto milionów! Bagatel! Znaczący to, że co wieczór, gdy zmrok zapada, (z poprawką, że wieczór przypada w różnych zakątkach świata nie o tej samej porze) kilkaset milionów ludzi w mniejszym lub większym stopniu poddaje się urokowi telewizji.

Napisalem: w mniejszym lub większym stopniu, bo jestem satysfakcją, jaką daje ludziom oglądanie telewizji jest bardzo zróżnicowana. Jedni przybijają program krytycznie, stają się do niej jak do kłosa, inni natomiast do oglądania. Inni oglądają program „jak leci”, pozwalają mu płynąć jak wódze z odkroconego kurka i w ten sposób wypełniają sobie nudne wieczory. Jeszcze inni naginają do programu telewizyjnego swój porządek dnia, spieszą wracać do domu na określona godzinę, o której rozpoczyna się ich ulubiona pozycja programu.

Tak jest dzisiaj. A jeszcze niewiele lat wstecz sytuacja była zgoła inna. Telewizja stała się nową rozrywką, ekskluzywną. Nawet wybitne umysły nie oczekiwali wtedy tak gwałtownej eksplozji telewizyjnej, jaką przeżywamy od kilku lat.

Podobno Winston Churchill, który tak świetnie potrafił przewidywać przyszłe wydarzenia, zdał przed śmiercią pochwilić telewizji kilka niepochwiliwych zdań. Cytuję za zmarłym niedawno recenzentem telewizyjnym „Trybunę Ludu” red. Leszkiem Golińskim. Miał więc Churchill powiedzieć: „Nie rozumiem, czemu wokół tego tyle szumu, chociaż jestem pewien, że ten przeklęty wynalazek zaszkodzi społeczeństwu i ludzkości”.

Mniej dosadnie, ale również niezłownie wyraził się swego czasu o telewizji Jan Parandowski. „Nie można sobie wyobrazić — pisał — aby cywilizacja poszła tą drogą. Jest raczej pewne, że nawet tam, gdzie telewizja dziś panuje, spadnie ona prędzej czy później do rzędu dokuczliwych gratów”.

Niewątpliwie nie brakuje ludzi, którzy uważają dziś jeszcze telewizję za dokuczliwie graty, niemniej jednak prognoza naszego znakomitego bisarza nie sprawdziła się w sensie społecznym, podobnie jak nie potwierdziła słuszności przewidywań angielskiego męża stanu. Weźmy jako przykład nasz kraj. Z roku na rok rozwija się u nas sieć telewizyjna, rośnie ilość abonentów i liczba miłośników telewizji.

Rola, jaką odgrywa ona w naszym życiu, nabiera stale większego znaczenia i nie nie wskazuje na to, by przynosiła ona społeczeństwu szkody. Przeciwnie, telewizja przyspiesza procesy kulturowe, dociera do najodleglejszych wsi i osad, staje się najpopularniejszym, naprawdę ludowym środkiem rozrywki, informatorem i agitatorem politycznym, a także źródłem wiedzy o skomplikowanych problemach współczesnej nauki i techniki.

\*\*\*

Abym nie był nomówionym o jednostronność, przytoczę



Władysław Oronim

## spektakle tygodnia

	spektakle widzów proc.	
<b>NOWY</b>		
„Damy i huzary”	4	2400 75
„Śluby panieńskie”	1	700 100
<b>MAŁA SALA</b>		
„Gra miłości i przypadku”	3	600 100
„Skiz”	2	350 75
<b>POWSZECHNY</b>		
„Klub kawalerów”	4	2610 97
„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	649 97
„Baba-Dziwo”	1	619 83
<b>JARACZA — 7.15</b>		
„Bliźniak”	6	1800 75
<b>OPERETKA</b>		
„Dziękuję Ci, Ewo”	6	6000 91
<b>TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ</b>		
„Pan Puntilla i jego sługa Matti”	7	1970 100

## KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Marja Kuncewiczowa — „Gaj oliwny” — PAX, cena zł 18.
- Francis Clifford — „Zielone łaki raj” — PAX, cena zł 20.
- Maksymilian Berezowski — „Wyspa dżentelmenów” — Czytelnik, cena zł 15.
- Jan Parandowski — „Dysk olimpijski” — PIW, cena zł 10.
- Wilhelm Mach — „Agnieszka, córka Kolumba”, Czytelnik, cena zł 20.
- Stanisław Zieliński — „Kiełbie we łbie”, Iskry, cena zł 9.
- Edward Stachura — „Przystępuję do ciebie”, Czytelnik, cena zł 10.
- Wasył Kocznow — „Muszla”, Iskry, cena zł 10.
- Vladimir Parol — „Targowisko spełnionych życzeń”, Czytelnik, cena zł 10.
- Tadeusz Jasiński — „Droga okólna”, Wydawnictwo Morskie, cena zł 15.
- Janusz Krasiński — „Skaroga”, Iskry, cena zł 10.
- Olgierd Wołczek — „Reportaż z kosmosu”, Wiedza Powszechna, cena zł 13.

## BOGDA MADEJ

### Książka o ludziach walczących

„Pięć lat minęło od dnia, kiedy pochowałem ojca. Widzę jego siwą głowę, jak pochyla się nad biurkiem, przy którym piszemy tę książkę: spieramy się, porównujemy warianty, prze-

pracowujemy” — tak pisze na sierzdytelku obwołany, Andrzej Ostoja jeden z autorów trzech opowiadań, w których pod dzwoniącym tytułem „Tirolinka”. Czytelnicy znają go już z liczących utworów o tematyce żołnierskiej, a także z powieści naukowo-fantastycznej „Aspazja”, drukowanej w swoim czasie na łamach „Odgłosów”. Drugi, nieobecny już autor, to Adam Ostoja, rusycysta i twórca opowiadań drukowanych przed wojną w „Podchorążym”.

Książka, która jest efektem pracy aż dwóch pisarzy, zawsze budzi we mnie niepokój — czy przypadkiem kontrowersyjne poglądy autorów nie znajdują odbicia w ich wspólnym dziele. Tym razem, w wypadku „Tirolinki” niepokój okazał się nie-

zasadniony. Jak wspomnianym, książka składa się z trzech opowiadań, rozrzuconych daleko w czasie i miejscu akcji. Pierwsze — „Stary lew” cofa nas w lata carskiego zaboru, do miasteczka leżącego gdzieś między Łodzią a Warszawą. Bohater opowiadania, czterdziestolletni letni socjalista jest nieobecny, dowiadujemy się o nim z opowiadań dwojga zakochanych w nim ludzi; syna i młodej dziewczyny. Drama tych trojga ludzi pokazany jest na tle jarmarcznej zabawy w małym miasteczku; w scenerii, którą dobrze znamy nie tylko z literatury.

Akcja drugiego opowiadania przenosi czytelnika do Hiszpanii w lata wojny domowej. Tajemnicza postać Czerwonej Angelity, kobiety,

a może po prostu pięknego porucznika Don Jorge wprowadza element sensacji, ale z równym zainteresowaniem śledzimy przemiany w psychice żołnierzy walczących z dyktatorskiego polecenia przez ciwko rodakom. I wreszcie tytułowe opowiadanie „Tirolinka” przynosi nie tylko rozwiązanie zagadki, co oznacza ten niecodzienny wyraz. Ciekawość niecierpliwych zaspokoję już teraz, tak została nazwana „Warszawianka”, śpiewana w pociągu na trasie z Woldenberg do Sochaczewa w latach ostatniej wojny. W pociągu jechali polscy żołnierze, którzy zorganizowali brawurową ucieczkę z jenieckiego obozu w Rzeszy. Niewątpliwie najciekawsze, najbardziej frapujące i najbardziej bliskie jest to właśnie opowiadanie i gdyby nie nośka, w której autorzy po-

dali prawdziwe nazwiska bohaterów ucieczki, trudno byłoby uwierzyć, że opisane fakty są autentyczne.

Nie przypadkiem chyba te trzy opowiadania, przenoszące nas w różne lata i różne miejsca, autorzy zdecydowali się wydać razem. Wszystkie pokazują ludzi, którzy walczą o to samo, o wolność dla siebie i dla innych. Bohaterowie „Tirolinki”, ci polscy i ci hiszpańscy są podobni, jedyną różnicą mocno przekonani o słuszności sprawy, o którą walczą i jednakowo gotowi oddać dla niej życie.

Wartka akcja, zwarta kompozycja, i umiejętna charakterystyka składają się na dobrą, bezpretensjonalną prozę.

I jeszcze jeden fakt, na który warto chyba zwrócić

uwagę. Wydaje się, że odbiorcą „Tirolinki” powinna być przede wszystkim młodzież, często szukająca wzorcowych bohaterów w nie najlepszej literaturze. Cel, dla którego walczą i giną bohaterowie „Tirolinki” był wielki, autorzy zaś opowiadanie o tych ludziach w sposób prosty, niesztampowy i interesujący. Dali portrety zwyczajnych ludzi, którzy walczili nie dla sławy i zdobycia miana bohatera. Młodzi ludzie mogą się od nich uczyć pasji w walce i uczciwości w życiu. I taka jest przede wszystkim główna zaleta „Tirolinki”.

Adam Ostoja i Andrzej Ostoja: „TIROLINKA”. Wyd. Łódzkie, 1968, str. 143, cena zł 10.—





# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



## „ŻYWOTY SŁAWNYCH MĘŻÓW”

W paryskim wydawnictwie „Club du Livre” ukazało się trzatomowe, luksusowe, pełne wyda nie dzieła Plutarcha „Żywoty sławnych mę-  
ców”. Książka oprawio-  
na jest w skórę i za-  
wiera liczne, na wyso-  
kim poziomie artystycz-  
nym, ilustracje, których  
autorem jest znany z  
zamiłowaniami do sztuki  
klasycznej, Albert De-  
caris.

## GORKI I KINEMATOGRAFIA

O zainteresowaniach Gorkiego kinem i sztuką filmową dowiadujemy się z wywiadu jaki prze-  
prowadził przedstawi-

ciel dwutygodnika „Śmie-  
na” z wnuczka Gorkiego,  
Darii Maksimowną Piesz-  
kową, aktorką teatru  
im. Wachtangowa. Piesz-  
kowa wspomina swoje  
lata dzieciństwa, gdy  
mając lat 7 lub 8, mies-  
zała na letnisku w Gor-  
kach, gdzie często orga-  
nizowane były przeglą-  
dy filmowe. Gorki lubił  
kino. Uchodził nawet za  
znawcę spraw filmowych  
i to wtedy jeszcze, gdy  
film z niemieckiego prze-  
chodził na dźwiękowy. Inte-  
resował się filmem zwa-  
żając, twierdząc, że kin-  
ematografia przyszłości  
zajmie niewątpliwie waż-  
ne miejsce w życiu spo-  
łeczeństwa. W roku 1916  
Gorki brał udział w or-  
ganizowaniu nowego stu-  
dium filmowego. Zada-  
niem tego studium mia-  
ła być produkcja filmów,  
które oddawałyby praw-  
dę życia. Projektowano  
m. in. zaproszenie do  
udziału w zdjęciach Fie-  
dora Iwanowicza Szala-  
pina.



Daria Maksimowna Pieszkowa

wienia na deskach scenicznych około trzystu wybitnych dzieł literackich. Pisze następnie kilka scenariuszy filmowych. Jeszcze w latach dwudziestych pracuje nad dwoma scenariuszami: „Po drodze na dno”, pomyslanym jako historia poprzędająca dzieje bohaterów sztuki „Na dnie” i „Przestępcy”, scenariusz poświęcony zagadnieniu walki ze zjawiskiem opuszczonych dzieci. Gorki pisywał o kinie i dla kina, a filmowcy bardzo często przenosili jego dzieła na ekran. W latach dwudziestych Pudowkin sfilmował „Matkę”, w latach trzydziestych ekranizowano „Dzieciństwo”, „Wśród ludzi”, „Moje uniwersytety”. Dziś trwa już prace nad filmowaniem „Klima Samgina” (Ziżn Klima Samgina) i

„Letników” (Daczniki). Jakie miejsce zajmuje film w życiu Darii Maksimowny Pieszkowej? „Widzicie — odpowiada Wnuczka Gorkiego — jestem aktorką teatralną i pracuję głównie na scenie w teatrze im. Wachtangowa. Dla kina grałam tylko jedną rolę — w filmie Jurija Wysznińskiego pt. „Appassionata”, gdzie kreowałam swoją babkę Jekaterinę Pawłowną Pieszkową. Działo się to w 1963 roku, kiedy ona jeszcze żyła. Rola była niewielka, epizodyczna, ale ciekawie było ją zagrać”. Babka Darii Pieszkowej, ujrzawszy „siebie” na ekranie, była bardzo zadowolona i twierdziła, że tak właśnie wyglądała w młodości. „My obie byłyśmy bardzo do siebie podobne...” — mówi Daria Maksimowna Pieszkowa.

## 150-LECIE URODZENIA TURGIENIEWA

W październiku bieżącego roku przypada 150 rocznica urodzin wybitnego pisarza rosyjskiego Iwana Siergiejewicza Turgieniewa. W związku z tym w ZSRR powstał Wszechzwiązkowy Komitet Jubileuszowy, do którego weszli pisarze, działacze kultury i sztuki i przedstawiciele społecznych organizacji.

## STATUA KU CZCI ALFREDA JARRY

Rzeźbę ku czci Alfreda Jarry (1873—1907), autora słynnej sztuki „Ubu król”, wzniesiono na placu Hardy w Lavall we Francji. Statuę wykonał niedawno zmarły rzeźbiarz Osip Zadkine. W uroczystości ustanowienia rzeźby wzięła udział m. in. Walentyna Prax, wdowa po rzeźbiarzu.

## „WIELKIE PRZYGDY TEATRU”

W jednym z paryskich wydawnictw ukazała się książka pt. „Les grandes aventures du theatre” (wielkie przygody teatru) pióra Guy Leclerc’a. Jest to obszerna monografia teatralna zawierająca zarówno biografie poszczególnych autorów dramatycznych jak i charakterystykę najważniejszych kierunków sztuki teatralnej. Napisana żywo i prosto stanowi historię dramaturgii i teatru. Praca jest wznowieniem pierwszego wydania, ale znacznie poszerzonym i uzupełnionym. Specjalnie omówił autor dramaturgię współczesną i wkład takich twórców do dramaturgii jak Genet, Sartre, Artaud, Armand Gatti.

## KU CZCI ZADKINE’A

Dom Kultury w Angers we Francji organizuje pierwszą wielką wystawę po jego śmierci. Będzie tu eksponowanych 30 rzeźb w brązie, gwasze i rysunkach Zadkine’a. Sześć monumentalnych dzieł ustawionych zostanie w parkach miejskich.

## ZBRODNIA W GRENADZIE

„Widziano go, jak szedł wśród karabinów ulicą bardzo długą na zimne pole jutrzenki, gdy gwiazdy jeszcze nie zgasły Zamordowali Federica, kiedy ustawało światło.” (t. J. Winczakiewicz)

Tak pisał Antonio Machado o śmierci wielkiego hiszpańskiego poety Federica Garcii Lorci, bestialsko zamordowanego przez faszystów w dniu 19 sierpnia 1936 roku. Tygodnik „Paris Match” podał ostatnio szczegóły śmierci poety. Francuska pisarka i dziennikarka Marcelle Auclair, wdowa po pisarzu Jean Prevost, który padł od niemieckich kul pod Vereors, przygotowała biografię hiszpańskiego poety „Enfance et mort de Garcia Lorca” (Dzieciństwo i śmierć Garcii Lorci).

Marcelle Auclair, która znała osobiste poe-  
tę, pisze, że główną rolę w zamordowaniu Lor-  
ki odegrał don Ramon Ruiz Alonso, deputowa-  
ny prawicy zaprzysię-  
ny wróg poety. Latem 1936 roku Garcia Lorca przebywał w Madrycie. Jak co roku pragnął spędzić urodziny swego ojca, 18 sierpnia, spędzić z nim razem w Grenadzie. W Hiszpanii nara-  
stało już napięcie poli-  
tyczne i Lorca zastana-  
wiał się czy nie zostać w Madrycie. W połowie sierpnia postanowił jednak jechać do Grenady. W pociągu minął Lorke barczysty, niskiego wzro-  
stu mężczyzna, przyglądający się uważnie poe-  
cie. Człowiekiem tym był Ruiz Alonso, Lorca

cofnął się odruchowo, ogarnęły go złe przeczu-  
cia. Gdy tego dnia pociąg przybywa do Gre-  
nady, w mieście tym są już niepokoje. Wy-  
buch wojna domowa, w której zginie milion ludzi. Federico jest za-  
niepokojony rozwojem wypadków i wiejąc, że nienawidzą go zwol-  
nicy gen. Franco, chroni się u przyjaciół. Grenada staje się wkrótce terenem masowych egzekucji, dokonywanych przez faszystów. Do domu, w którym ukrywa się Garcia Lorca, wkra-

wia ze swym współto-  
warzyszem niedoli o sprawach teatru. Samo-  
chód zatrzymuje się przed parowem. Faszys-  
ści wywlekają z auta najpierw towarzysza Lorci. Padają strzały. Jest bardzo zimno. Po-  
eta ma na ramionach koc. Gdy oprawcy podbiegają do niego, woła: „Nie trzeba mnie zabi-  
jać. Ja nie nie zrobi-  
łem”.

Do dziś nie wiadomo, gdzie jest grób autora „Poematu o głębokim śpiewie”, choć stawa



Rysował Federico Garcia Lorca

cza Ruiz Alonso na cze-  
le uzbrojonych po zęby policjantów. Aresztują poe-  
tę. Gdy gospodarz domu pyta, wskazując na Lorke: „Co macie mu do zarzucenia?”, Ruiz Alonso odpowiada krótko: „Jego dzieła”. Jest 15 sierpnia 1936 roku. Do celi, w której przebywa Lorca, nikogo nie dopuszczają. 19 sierp-  
nia o świcie zabiera go auto wraz z jeszcze jed-  
nym więźniem, który kuleje. Wiozą ich dwóch do Vinez, niedaleko Grenady. Obaj więźniowie nie wiedzą, po co i dokąd jadą. Poeta rozma-

Garcii Lorci dawno już przekroczyła granice je-  
go ojczystego kraju. Dziś Grenada wznosi pomnik u stóp Alhambrę ku czci zamordowanego poety. Kiedy niedawno tele-  
fonowała do Ruiz Alon-  
sa Marcelle Auclair, powiedziała: „Moja rola w tym, co dotyczy Garcii Lorci, była bardzo krótką”. „Tak, — odpowiedziała Auclair — ale jak o tym mówić, decydująca”. Nigdy nie udało się pisarce osobi-  
ście rozmawiać z tym, który aresztował największego współczesnego poe-  
tę Hiszpanii.



Federico Garcia Lorca (pierwszy od lewej) na zabawie ludowej.

## TADEUSZ ŻAKOWIECKI

# Na tropach prawdy

„Na tropach Billa”) — czwarta książka Edwarda Szustra — została nagrodzona na konkursie Związku Literatów Polskich i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi na prozę o dziejach ruchu oporu i walk partyzanckich na ziemiach Polski środkowej. Książka ta wyróżnia się wśród utworów o partyzanckiej tematyce — nie tylko reporterską, ale historyczną i geograficzną ścisłością. Osoby występujące w powieści, to autentyczni, mający konkretne imię-  
na i nazwiska ludzie. „Tro-  
jan”, „Wicher”, „Bill”, czy „Bystry” są postaciami rzeczy-  
wistymi, tworzącymi dzieje walk z okupantem na konkretnym, ściśle nazwanym terenie — w okolicach Piotrkowa.

Powieść Szustra przedstawia ten nie najbardziej efektywny i bohaterski fragment działania leśnego oddziału: przemarsze z kwatery do kwatery, nudne nauki o bronii, ćwiczenia taktyczne, drobne zatargi dowódcy z podwładnymi i zatargi podwładnych pomiędzy sobą... Poszerza tonie wątpliwe wyobrażenia czytelnika o działalności partyzanckiej. Czytelnik poznaje bliżej rozmiar komplikacji tamtych czasów, przekonuje się, że „leśne podziemie” nie zajmowało się jedynie brawurowymi napadami na pociągi i posterunki żandarmerii, że każda akcja wymagała mozolnej pracy przygotowawczej i dokładnego obrachunku: jakie przyniesie zyski i jakie spowoduje straty.

Na jednej ze stron swej

książki Szuster stwierdza, że dla ścisłości faktograficznej rezygnuje z niektórych możliwości kompozycyjnych powieści. Stwierdzenie to wyda-  
je mi się trochę kokieterijne. Właśnie kompozycja okazuje się być mocną stroną jego pro-  
zy.

Na pierwszy plan książki składa się bezpośrednia relacja narratora — działacza konspiracyjnego, który skierowany zo-  
sta do oddziału AK jako stażysta. Ów stażysta-narrator spotyka w oddziale partyzanta o pseudonimie „Bill”, wyróżniającego się statecznością, doświadczeniem i autorytetem wśród kolegów. Po dwu-  
dziestu kilku latach narrator dowiaduje się z opracowania monograficznego (Ryszarda Na zawiązaniu), że „Bill” zanim znalazł się w grupie AK, był członkiem pierwszego oddziału Gwardii Ludowej, utworzonego pod Polkhemem przez „Małego Franka”, że jeszcze wcześniej był jednym z czołowych organizatorów ruchu robotniczego i ruchu oporu w Piotrkowie.

Jak to się stało, że świa-

domy komunista znalazł się w oddziale Armii Krajowej? Jakie okoliczności doprowadziły go do działania na obcym jego ideologii froncie? Jakimi mechanizmami powodowały aktywnym człowiekiem w tamtych czasach?

Na pytania powyższe narrator próbuje zrekonstruować odpowiedź w przeplatających się z pierwszym planem powieści — nazwijmy je umownie — komentarzach. (Szkoda, że „komentarze” nie zostały wyróżnione w tekście specjalną czcionką, a jedynie nawiasami, kilkakrotnie zgrupowanymi zresztą przez korektę). Komentarze owe nadają trzeci wymiar tej pozornie białej i fragmentarycznej opowieści o krótkich dziejach oddziału „Trojana”. Ujawnia się w nich niemal Faulknerowska dociekliwość w odtwarzaniu przeszłości, w poszukiwaniu prawdy o tej przeszłości. Jest to niby publicystyka — ale więcej w niej psychologii niż polityki, więcej prób zwalczania bariery czasu niż wyjaśnienia politycznego motywów postępowania bohatera.

Niezależnie od walorów kom-  
pozycji i zawartości treściowej miałbym pewne zastrzeżenia do stylu tej prozy. Wydaje mi się, że autor nie do-  
wiera inteligencji czytelnika, operując niekiedy zbyt roz-  
wielkim, mało skondensowa-  
nym zdaniem. Język jego utworu bywa mieszaniną poprawności i czasami graniczy z pretensjonalnością.

Zastrzeżenia miałbym również do obwoluty Stanisława Grątkowskiego. Mając na swym koncie wiele osiągnięć w tej dziedzinie — przedstawia on tym razem obwolutę przeladowaną elementami graficznymi i nieczytelną.

\*) Edward Szuster: „Na tropach Billa”. Wydawnictwo Łódzkie 1968, str. 135, cena zł 10.

# ANNA MAGNANI

Anna Magnani zwana popularyzarnie we Włoszech Nannarella należy obok Greta Garbo do najwybitniejszych artystek ekranu. Swoją karierę filmową rozpoczęła właściwie dość późno i prawie przypadkowo. Wystąpiła w słynnym filmie Rosselliniego „Ktym miasto otwarte”. Po latach panowania mdłych i sztucznych gwiazd — wampów, tworzonych na modłę hollywoodzką — ta kobieta o fascynującej twarzy, bujnych i porządanych włosach, demonicznych oczach — stanowiła niemal objawienie. Stała się gwiazdą neorealizmu. Reżyserzy tworzyli filmy tylko dla niej, tylko po to, by jej niepowtarzalną osobowość i bujny temperament mogły zabłysnąć w całej pełni. „Poseł Angelina” Zampy, „Miłość” Rosselliniego, „Najpiękniejsza” Viscontiego — to właściwie wielkie kreacje Magnani, wielkie popisy jej niepospolitego aktorstwa. Renoir czynił ją bohaterką „Złotej karocy”. Magnani stała się legendą. Nie ma w sobie nic z gwiazdy filmowej kreowanej przez speców od reklamy na miarę gustów mieszczańskiej publiczności i egzaltowanych nastolatków. Nie lansuje ani mody, ani fryzuru, ani stylu życia. Któż by zresztą zdołał ją naśladować?

W jej wielkości jest coś tragicznego. Ale ma świadomość zarówno swej wielkości jak i owego tragizmu skazującego ją na samotność, a często i na niepopULARNOŚĆ wśród szerokiej publiczności. W jednym z wywiadów powiła o pewnej znanej artystce: „To dobra aktorka, ale brak jej geniuszu, a przecież jedyną rzeczą, która ma znaczenie jest geniusz”.

Dziennikarze jej nie lubią. Zarzucają jej kabotyzm. Ale czy każdy wielki aktor nie jest zarazem kabotynem? Po załamaniu się „złotego okresu” neorealizmu Magnani wyjeżdża do Stanów, Tennessee Williams pisze dla niej sztukę, Zdobywa Oscara i liczne nagrody. Ale nie potrafi akceptować propozycji czysto komercyjnych. Wraca do Włoch, gdzie Pasiolini wraca dla niej znakomita rola. Gra w teatrze. Sukcesem na światową skalę staje się jej

kreacja w „Wilczyca” Vergi. Obecnie po czteroletniej przerwie ma znów wystąpić w filmie Stanleya Kramera „Tajemnica Santa Vittoria” u boku Anthony Quinna. Ta znakomita para wydaje się być stworzona dla siebie.

Dziennikarz włoski relacjonuje wizytę złożoną w rzymskim mieszkaniu Anny Magnani. Relacjonuje chwilami w sposób niezbyt sympatyczny. Nie dziwnego. Magnani wymyka się regułom gry ustanowionym przez dziennikarzy zajmujących się pisaniem o filmie. Nie można jej traktować jak słodką idiotkę — tak jak to robiono z Marilyn Monroe. Nie można opiewać jej wdzięków i sex-appealu. Nie można mówić o niej pogardliwie i protekcjonalnie, z domieszką pogardliwego lekceważenia. I to jest dla wielu frytujące. Tym bardziej, że Magnani ma w sobie coś, czego nie posiada ogół gwiazdek filmowych — ową iskrę geniuszu, autentyczny żywiołowy talent, wobec którego nie nie znacza wszelkie środki masowego produkowania i powielania „sztuki”. Ale oddajmy głos dziennikarzowi.

Magnani mieszka w Rzymie, w domu położonym w pobliżu Piazza Venezia. Urządzenie mieszkania zdradza zadziwiająco mieszaninę upodobania. Przedmioty tandemne i jarmarczne, stoją obok autentycznych antyków, rzeczy o dużej wartości artystycznej. Coś z pałacu i coś z poczekałki chiromantki. W bibliotece dzieła Prousta obok Balzaca, Cronina, Pirandella i George Sand. Na fortepianie leżą nuty sonaty Beethovena, Świątła Księżycza i neapolitańskich piosenek.

Po nokojach ospale wędruje ogromny, wspaniały kot o błyszczących oczach. Aktorka przyjmuje gości w szlafroku, długim i wydekolowanym, jak zwykle nie uczesana. Swym ulubionym gestem jeszcze bardziej rozburza piękne, krucze włosy. „Nigdy nie porzucałam filmu” — mówi Magnani. — Mam chyba prawo pracować wtedy, kiedy mi się podoba, a nie wtedy, gdy to podoba się innym. Być może rozpieszczono mnie. Jak pan myśli dla kogo Pasiolini napisał „Mamma

Roma”? Dla mnie. A Williams? Dla kogo napisał „Wy tatuowana róża”. „Orfeusza w węzowej skórze”. „Słodkie go ptaka młodości”? Dla mnie. Tam były postacie stworzone na moją miarę. I to mi odpowiadało. A dopiero teraz trafia mi się bestseller „Tajemnica Santa Vittoria”. Rolę w tym filmie zaproponował mi mój przyjaciel Kramer, do którego mam pełne zaufanie. Autorem „Tajemnicy” jest Robert Crichton, który jako żołnierz 8 Armii walczył na froncie włoskim. Choć dzi o dzieje włoski, której jedynym skarbem jest wino. Wszystko, wszystkie smutki, radości, nadzieje i tęsknoty jej mieszkańców związane są w jakiś sposób z winem. Otóż pewnego dnia zjawiają się Niemcy i rozlepiją na murach rozporządzenie o rekwizycji wszystkich dóbr. Ci nie-szczęśliwcy robia co mogą by uratować swoje beczki z winem, bowiem nie innego nie posiadają i nigdy nie posiadali. Buntują się. I na czele tego buntu staje żona sołtyśsa, kobieta z charakterem i odwagą. Czymże zresztą jest odwaga? — mówi Magnani. Ja boję się na przykład podróżować samolotem, boję się zamknięcia w latającym pudle, prowadzonym przez czołowieka, którego nie znam. I po co? — Żeby dotrzeć szybciej, szybciej — i co z tego? Czy to ma jakiś sens? Czy naprawdę warto programować podróże, programować sztukę, programować życie? Ile ma lat? W rozmaitych biografiiach figurują różne daty urodzenia. Jedna zaprzecza drugiej. 1908 rok, 1905, 1907, a nawet 1904. W każdym razie ma już na pewno sześćdziesiąt. To dużo dla aktorki, która nie chce zrezygnować z życia, nie chce zrezygnować z ról dramatycznych. Los starzejącej się aktorki jest losem tragicznym. Magnani nie podaje dziennikarzowi prawdziwej daty urodzenia, broni się, walczy o każdy rok. Na ogół wszystkie źródła podają, iż przysłała na świat w Egipcie. Zaprzecza temu. Chce być za wszelką cenę Rzymianką, bo przecież właśnie jako typowa mieszkanka Wiecznego Miasta utrwaliła się w pamięci milionów ludzi. Niech pan koniecznie to sprostuje — mówi dziennikarzowi — urodziłam się koło Porta Pia. A Porta Pia jest chyba w Rzymie, a nie w Aleksandrii. Owszem, mieszkałam jakiś czas w Egipcie, ale dopiero później. Dzieciństwo i młodość były trudne. Cierpiała niedze i upokorzenia. Zaczęła grać, bo chciała uciec z domu. Jako aktorka teatralna zadebiutowała w wieku lat 16. Występowała w wędrownych trupach na prowincji. Potem wyszła za mąż za reżysera filmowego Alessandrini, którego asystentem i współpracownikiem był właśnie Rossellini. Nie było małżeństwo szczęśliwe. Alessandrini uważał, że jego



żona nie posiada żadnych szans na zostanie aktorką filmową. „Dzisiejsza kinematografia włoska jest straszliwie skomercjalizowana i zamerykanizowana. Nie ma w niej miejsca zarówno dla indywidualności reżyserskich jak i aktorów. A telewizja? Praca w telewizji — mówi Magnani — to koszmar. Reżyser robi znak kreda na podłodze i należy tam stanąć i wypowiedzieć swoją kwestię niezależnie od tego czy się aktorowi podoba czy nie. Jest znak i trzeba stanąć bez gadania. Trze-

ba robić tylko to, co każe reżyser. Okropność. Pozostaje więc tylko teatr. — Gdybym wygrała 200 milionów — marzy aktorka — to albo opłaciłabym zaległe podatki, albo wystawiłabym na scenie „Antoniusza i Kleopatry” Szekspira. Ta sztuka szalenie mi się podoba, jest cudowna. Zawsze marzyłam o tym, żeby ją nie tylko grać, ale i reżyserować. A dopóki nie wygrała pani 200 milionów? Na razie w czerwcu zaczynam z dziećmi do „Tajemnicy”. Potem dalsze tournée po Euro-

pie z „Wilczyca”. Potem rola Marii Tarnowskiej, bohaterki słynnego procesu weneckiego w roku 1910. Magnani chce grać, to jej pasja i powołanie. Powołanie, któremu poświęciła życie, być może niezbyt radosne i szczęśliwe, ale przecież wypełnione bez reszty. M. K.

W Polsce widzieliśmy Annę Magnani m. in. w takich filmach, jak: „Rzym miasto otwarte”, „Człowiek bez jutra”, „Piekielny w mieście”, „Złota karoca”, „Pechowy Sylwester”.



Lewym  
okiem

## SIARCZYSTY MECENAS

Amicus quodlibet hora — stoi napisane wielkimi literami nad zegarem słonecznym, ponad głównym wejściem do pałacu Leszczyńskich w Baranowie, niedaleko Tarnobrzega. Po naszym napis ten znaczy: dla przyjaciół każda godzina dobra, czyli — przyjaciół witamy chętnie o każdej porze. Oczywiście nie należy tego brać tak dosłownie, jak pewna wycieczka, która tu do Baranowa zjechała kiedyś o północy i obudzony kustosza prosiła o pokazanie zamkowych komnat. Bez przesady, panowie, kustosze też człowiek!

Skąd wziął się felietonista pod pióro akurat Baranów, leżący z dala od szlaków turystycznych, nie rozważony ani żadnym kręconym tu filmem z Golosem i Polą Raką, ani legendą o smokach, królewskich skarbach i szkieletach? Stąd, że tutaj zamek w swej dzisiejszej pięknej postaci stanowi nader wymowny, świetny

przykład dobrze pojętego mecenatu przemysłu nad kulturą. Bo proszę:

Mecenas tutaj to naturalnie „Siarka” tarnobrzeńska, przedsiębiorstwo przekopujące kawał powiatu aż do dna. Trzeba zobaczyć te wydobytne przez maszynę wawoży. Te pasma gór, usypane w ciągu paru zaledwie lat, ten zmieniony do gruntu krajobraz, żeby zdać sobie sprawę z ogromnego zasięgu tych prac, z zasięgu interwencji człowieka w przyrodę. Ziemia kryje jednak nie tylko bogactwa materialne, jak w tym wypadku siarkę. Kryje też najróżniejsze przekazy pradawnych epok, ślady pobytu w tych stronach naszych przodków, ślady ich — a więc i początków naszej — kultury. Ustalono więc kapitalną zasadę: eksploatacja górnicza, prace wydobycze na nowych terenach nie mogą być podjęte, dopóki tereny te nie zostaną zbadane przez archeologów. Pierwszy to chyba wypadek, że przedsiębiorstwo przemysłowe zatrudnia etatowo badaczy prehistorii. System brzemienny w skutki. Okazało się bowiem, że w tarnobrzeńskiej ziemi można znaleźć pozostałości różnych epok, przekrój niejako przez szereg warstw historii, z których każda pozostawiła tu namacalne ślady, czytelne dla specjalistów. Znalezione i zabezpieczone blisko piętnaście tysięcy przedmiotów, świadczących o materialnej kulturze dawnych mieszkańców tych okolic. Całe muzeum!

Niedaleko naszej siarkowej stolicy, opodal małego miasteczka Baranowa, stał od czterystu lat zamek — cacko, idealnie czysty renesans, prawie wszystkie (90 proc.) elementy autentyczne, czyli ani razu w ciągu tych czterystu lat nie palone, nie niszczone, nie rekonstruowane. Wiadomo przecież, jak mało nasza Ojczyzna, otwarta na wszystkie dziejowe burze i przeciagi, ma takich zabytkowych budowli. Szkoda, że nie wiąże się z nim żadna anegdota, legenda, fakt dziejowy, który

by załudził baranowskie krużganki w wyobraźni zwiedzających, napelniał je ludzką treścią. Pałac — pięknie odrestaurowany — trochę robi wrażenie sztucznie wznieśionego eksponatu. A to przecież autentyk. To właśnie tu ten sam Mecenas — „Siarka” — ulokował znalezione w okolicy wykopaliska, przedtem odnowiony pałac pięknie, na wysoki poziom, własnym sumptem i staraniem. W dawnych budynkach gospodarskich obok urządzono elegancki hotel. Jak rok okrągły hotel ma komplet gości. Zjeżdżają tu na rozmaite sympozjony i konferencje, organizowane w górnych komnatkach pałacu. Pięknie, przyjemnie, pożytecznie. Nie ma światowych pokus, pracuje się spokojnie, pałac zarabia trochę na siebie, różnicę dopłaca przemysł. Ostateczny zysk — niewymierny, ale jakie ceny — to ocalenie zabytkowego obiektu dla czulej narodowej pamięci, dla ojczyńskiej tradycji i kultury.

Wobec czego konkluzja niech będzie taka: pięknie spisano się przedsiębiorstwo siarkowe, pięknie i mądrze. Może by nawet nie czekać na równie piękny przykład w generalnej normy prawne i obciążać wielkie zakłady przemysłowe obligatoryjnym serwitutem świadczeń na rzecz kultury? Dla jej przyjaciół każda forma pomocy dobra. W każdej porze, a czym wcześniej — tym lepiej. Amicus quodlibet hora!

CWIEK